

TYGODNIK LITERACKI

Nr 13-14 (27-28) • Rok II • 31 marca-7 kwietnia 1991
ISSN 0867-1257 • Nr indeksu 379689 • Cena 2500 zł

HERLING-GRUDZIŃSKI - NAJNOWSZY DZIENNIK PISANY NOCĄ • JEROFIEJEW: WARIATEM MOŻNA BYĆ W KAŻDYM WIEKU I MOSKWA PIETUSZKI • ZJAZD PISARZY EMIGRACYJNYCH • KOPACKI O ASHU • DRAWICZ - ROSJA, ZAWIEDZONE NADZIEJE? • GRUSZCZYŃSKI - „NOWY” TEATR?

Święty Grzegorz z Nazjanzu

Mowa na Święto Paschy

Gdybyś był Szymonem Cyreńczykiem, podnieś krzyż¹ i towarzysz Mu. Gdybyś, jak Iotr², był razem ukrzyżowany, uznaj Boga jako człowiek doświadczony. Jeżeli On z powodu ciebie i twojego grzechu został zaliczony do przestępców³, to ty stań się dla Niego czystym wobec prawa. Uczcij Tego, który dla ciebie zawisł na krzyżu, a sam powieszony - zyskaj coś z własnej nieprawości; kup za śmierć zbawienie; wejdź z Jezusem do raju, abyś poznał, coś utracił. Przypatrz się tamtejszej piękności, a Iotrowi urągającemu pozwól umrzeć poza rajem razem z jego urąganiem.

Gdybyś był Józefem z Arymatei⁴, żądaj wydania ciała przez krzyżującego; niech twoje będzie narzędzie oczyszczenia świata. Gdybyś był Nikodemem, nocnym czcicielem Boga⁵, namaść Go w grobie olejkami⁶.

Gdybyś była Marią, czy Salome, czy Joanną, przyjdź płakać do grobu z samego rana⁷. Zobacz pierwsza odwalony kamień grobowy⁸, może i aniołów, i samego Jezusa. Powiedz coś i posłuchaj głosu. Jeżeli usłyszysz: (657) Nie trzymaj mnie⁹, stój z daleka, uczcij Słowo, lecz się nie smuć. Wie on, komu się najpierw ukazać. Święć zmartwychwstanie; pomóż Ewie, która pierwsza upadła, ale też pierwsza pozdrowiła Chrystusa, i daj znać uczniom.

Stań się Piotrem czy Janem, pospiesz do grobu, wyprzedzaj lub biegnij razem¹⁰, odbywając piękny wyścig. A jeżeli w biegu zostaniesz wyprzedzony, zapamiętaj zwyciężaj, nie pochylaj się, aby zaglądać do grobu, lecz wejdź do środka. A gdybyś, jak Tomasz, nie był obecny w gronie apostołów, którym się Chrystus ukazuje, to skoro Go zobaczysz¹¹, nie bądź niewierny; a gdyby zabrakło ci wiary, uwierz tym, którzy o tym opowiadają; jeżeli zaś i im nie wierzysz, to uwierz śladom gwoździ(...)



Zmartwychwstanie NIKIFOR

Teraz już muszę mowę streścić i to w ten sposób: Zostaliśmy stworzeni, by nam się dobrze działo; a działo nam się dobrze, skoro zostaliśmy stworzeni. Raj powierzono naszej wierności, abyśmy z niego przyjemnie korzystali. Otrzymaliśmy przykazanie, którego zachowanie miało nam zapewnić chwałę; nie jakoby Bóg nie wiedział, co się stanie, ale wobec naszej wolnej woli ustanowił prawo. Dałszy się zwieść, ponieważ wzbudziliśmy zazdrość; wypędzono nas, ponieważ naruszyliśmy prawo; doznaliśmy głodu, ponieważ nie powstrzymaliśmy się od jedzenia, zwyciężeni drzewem poznania. Dawne to bowiem było przykazanie, a jednocześnie tak jakoś bliskie naszym czasom pouczenie dla duszy i skarcenie zbytku; słusznie nam to nakazano, ażebyśmy przez przestrzeganie odzyskali to, cośmy utracili przez nieprzestrzeganie. Ażeby żyć, potrzebowaliśmy wcielenia i śmierci Boga; razem z Nim umarliśmy, ażeby się oczyścić; razem zmartwychwstaliśmy, ponieważ razem umarliśmy; razem zostaliśmy uwielbieni, ponieważ zmartwychwstaliśmy razem.

Liczne były cuda w owym czasie: Bóg ukrzyżowany, słońce zaćmione i znów rozpalone; trzeba bowiem było, by także stworzenia współczuły ze Stwórcą. Zasłona rozdarta, krew i woda z boku płynące, jedno jako człowiecze, drugie zaś jako ponadczłowiecze; ziemia się trzęsła, skały pękają, umarli wstają dla uwierzytelnienia ostatecznego, ogólnego zmartwychwstania; znaki jedne nad (664) grobem, drugie po pogrzebaniu - któż by je godnie mógł wystawić? Ale żaden nie jest taki jak cud mojego zbawienia: Nieliczne krople krwi odnawiają cały świat i są dla wszystkich ludzi tym, czym jest podpuszczka dla mleka: w jedno nas wiążą i ściągają.

O Pascho, ty wielka i święta, i oczyszczająca cały świat! - będę bowiem mówił do ciebie jako do żywej istoty. O Słowo Boga i światłości, i życie, i mądrości, i mocy! - bo cieszę się wszystkimi Twoimi imionami. O rozumu wielkiego płodzie, i pochodzie, i pieczęci! O Słowo duchowe i widzialny człowiecze, który nosisz wszystko związane, słowem swej potęgi!

¹ Łk 23, 26, ² Łk 23, 40 nn, ³ Iz 53, 12, ⁴ Łk 23, 50, ⁵ J 3, 2, ⁶ J 19, 39, ⁷ Łk 24, 1-2, ⁸ Mk 16, 1, ⁹ J 20, 17, ¹⁰ J 20, 2, ¹¹ J 20, 24 nn.

Fragmenty drukujemy za: Święty Grzegorz z Nazjanzu, *Mowy wybrane*, praca zbiorowa, Instytut Wydawniczy „Pax”, Warszawa

- Przed paroma dniami wrócił Pan z Moskwy jak ocenia Pan obecną sytuację polityczną w ZSRR?

- Muszę przyznać, że w roku 1988, po dwunastu latach nieobecności, odniosłem szokująco dobre wrażenie. Wydawało mi się, że wszystko ruszyło z miejsca, szczególnie w sferze bliskiej nam-humanistom, bo w sferze nadbudowy. To co zastałem teraz usposabia mnie, jeśli nie całkiem pesymistycznie, to na pewno melancholijnie. Powszechnie odczuwalna jest atmosfera stagnacji. Rozpoczęte procesy pieriestrojki uległy niebezpiecznemu zahamowaniu. Nastąpiło jakieś bardzo wyraźne przesilenie. To, co można było osiągnąć bez zasadniczej zmiany struktury polityczno-ekonomicznej zostało osiągnięte. Pewna skala możliwości została wyczerpana. Zbliżono się do kolejnej granicy, gdzie należałoby wykonać kolejny wielki skok jakościowy, a jednak się go nie wykonuje. Okazało się na przykład, że zapowiadana latem ubiegłego roku gruntowna reforma

jak świat światem, z wyjątkiem półroczna między lutym a październikiem 1917 roku.

- Jaka jest Pana ocena stopnia świadomości narodowej Rosjan?

- Skoro, jak powiedziałem, Rosja utożsamiała się, czy była utożsamiana z systemem sowieckim, musi ona płacić proporcjonalnie potężne koszty w postaci także wyjątkowego stopnia destrukcji świadomości społecznej czy narodowej. Zatem jej świadomość jest ciągle obita i obolała. Widać na razie tylko rudymenarne próby reintegracji, uświadomienia sobie tego, co zaszło. Paradoksalnie ma to swoje pozytywne konsekwencje. Myślę choćby o tym, że nie pojawiła się fala hipernacjonalizmu rosyjskiego. To, co do nas dociera, te głośno i agresywnie wykrzykiwane szowinistyczne hasła, to jest mimo wszystko zjawisko marginalne, jak i większego społecznego poparcia. Kilkadziesiąt lat komunizmu w Rosji doprowadziło do utraty tożsamości narodowej. W znacz-

publikach zależnych budziła zawsze strach.

- Niewątpliwie istnieje pewna pycha i poczucie przewagi, wyższości. Dość wcześnie dzono, bo już w latach trzydziestych, że Z. Sowiecki jest tutaj dziedzicem tradycji carskiej. W. pisano o tym bez żenady. Dopiero później kiedy Stali opracował na nowo radziecką genezę i historię, zaczęła to być sprawa wstydliva. Jednak nie jest tak, że się tę kwestię bagatelizuje. To życie pokazuje, iż na szczęście cała krzykliwa aura hiperrosyjskości, kiedy jest poddana sprawdzianowi poprzez jakieś głosowanie okazuje się zupełnie niegroźna. Tutaj zadziwiająca rozwagę i pewną dojrzałość reprezentują wyborcy rosyjscy, bo po prostu odmawiają swojego poparcia. Z drugiej strony, jeżeli chodzi o obecność Rosjan w innych republikach, to ja określiłbym to zjawisko jako poczucie wyższości wynikające z poczucia niższości. Obserwowałem je w różnych republikach. Otóż, stosunkowo łatwo jest osiągnąć taką nonszalancję na terenie Azji Środkowej, dużo trudniej jest już na Kaukazie, a najtrudniej w republikach nadbałtyckich, które Rosjanie traktują niemal jak Europę Zachodnią. Niewątpliwie poczucie wyższości Wielkorusów to jest z jednej strony atrybut tradycyjny, ale z drugiej - niestety - wynikający z wychowania sowieckiego. To jest ta pycha biurokracji, o której już w '56 roku mówił z gniewem Konstanty Paustowski w znanej dyskusji nad książką Dudincewa *Nie samym chlebem*, że nie widział nic w życiu obrzydliwszego, niż klasyczny sowiecki biurokrata za granicą. On ich obserwował na wycieczce wokół Europy na motorowcu „Pabieda”, była to słynna pierwsza wycieczka, i oni rzeczywiście zachowywali się w sposób egzotyczny. Zatem znowu ocieramy się o ów odwieczny spór o genezę komunizmu rosyjskiego, o to, co przeważa, czy cechy odziedziczone, czy te, które wniósł bolszewizm, totalizm współczesny. Sądzę, że to drugie.

- W jakiej kondycji znajduje się moskiewski inteligent?

- Odniosłbym się tutaj do historycznego ukształtowania elit, które to elity w czasach carskich były bardzo odosobnione. Nie dawano im szansy współdziałania obywatelskiego, zaistnienia w życiu politycznym Rosji. Zresztą, w ten sposób carat sam sobie wykopał grób. W czasach sowieckich nastąpiło natomiast zjawisko niszczenia elit, w nieporównywalnie większym stopniu niż gdziekolwiek poza Związkiem Radzieckim. W związku z czym elity karczowane z niesłychanym okrucieństwem, na niektórych terenach wręcz z furją, mam na myśli Leningrad, Ukrainę, zamykały się w sobie. Z kuchni moskiewskich czyniono salony intelektualne. Uczestniczyłem nie raz w takich konspiracyjnych spotkaniach, na których dochodziło do dyskusji żenująco akademickich. Pamiętam spotkanie u Nadieżydy Mandelsztam, gdzie kilka godzin licytowano się odpowiedziami na pytanie, czy można wymienić dziesięciu rosyjskich inteligentów. U nas taka dyskusja byłaby nie do przyjęcia. Taki temat nie istnieje, natomiast tam ludzie się autentycznie zastanawiali - i ja ich rozumiałem - czy te cechy, które łączymy z pojęciem prawdziwego inteligenta, w jakiś sposób przetrwały, a jeżeli tak, to u kogo. Daje to chyba obraz ogromnego spustoszenia, jakiego dokonano. Dlatego zadziwiający jest fakt, że niektórzy przedstawiciele elit zachowali swój autorytet i możliwość oddziaływania społecznego. Do pewnego momentu było dwóch ludzi, którzy mieli ów powszechny mir. Był to Sacharow i Sołżenicyn. Sacharow jako ten, który wynalazł bombę, a więc trzymał w ręku potężne narzędzie zniszczenia, a jednak zdobył się na odwagę, by powiedzieć Chruszczowowi słowo prawdy w obronie wartości humanitarnych, natomiast

dokończenie na s. 10

Miejsce święte nie może być puste

rozmowa z Andrzejem Drawiczem

ekonomiczna jest nie do zrealizowania bez gruntownej reformy politycznej. One blokują się nawzajem. Doszło do sytuacji, którą nazwałbym dreptaniem w miejscu, sytuacji wyczerpującej społeczeństwo i wreszcie odbierającej aktywne poparcie głównemu reformatorowi. W tej chwili odpływ poparcia dla Gorbaczowa jest rzeczywiście ogromny. Mówi się bardzo kategorycznie, że jego czas już się skończył. Ja jednak nie byłbym tego taki pewny. Przychyłałbym się raczej do stwierdzenia jednego ze znanych rosyjskich publicystów Igora Klapkina, który napisał niedawno, że „Nasz prezydent może być demokratyczny na tyle, na ile pozwala mu na to rozwój demokracji w kraju, na ile sama demokracja potrafi się stworzyć i zadbać o siebie”. Gorbaczow nie bardzo widzi dla siebie partnera w skrzydle demokratycznym. W związku z czym, próbując konsekwentnie pełnić rolę języczka u wagi, i nie znajdując poparcia musi się przechylać ku siłom konserwatywnym. Jest to ekwilibrystyka oczywiście szalenie niebezpieczna i - co gorsza - nie otwierająca w tej chwili nowych perspektyw.

- Jak natomiast ocenia Pan drugiego z liderów politycznych, Borysa Jelcyna?

- Jest to dla mnie i dla wielu moich rosyjskich przyjaciół postać dość enigmatyczna. To niewątpliwie bardzo zdolny człowiek aparatu, który zrozumiał konieczność podjęcia nowych, zasadniczych kroków, natomiast do jakiego stopnia jest to wynikiem przemyślanej linii politycznej, a do jakiego jest to tylko cykl zabiegów zmierzających do zdobycia popularności, nie jestem w stanie powiedzieć. Bardzo wielu aktywnych współpracowników, a tym samym zwolenników i sympatyków Gorbaczowa przeszło na stronę Jelcyna. Niemniej ja wykazałbym większą ostrożność. Tym bardziej, że wbrew pozorom to nie Rosja dyktuje warunki, lecz wciąż aparat centralny. Ta nadrzędna struktura centralistyczna jest nadal na tyle władna, że może trzymać Jelcyna w szachu. Być może właśnie dlatego, że znajduje się on w sytuacji patowej, trudno oceniać szanse powodzenia jego polityki czy w ogóle szczerą intencję.

- Zarysowuje się tutaj zasadnicza różnica pomiędzy Rosją a innymi republikami, gdzie proces demokratyzacji w różnym tempie, ale posuwa się do przodu. Z czego wynika ta różnica?

- Problem polega na tym, że Jelcyn usiłuje stworzyć alternatywę, która dotychczas nie istniała. Ogólnozwiązkowy aparat centralny był tak dalece utożsamiony z aparatem rosyjskim, że nie istniało żadne pole manewru. To jest jedyny tego rodzaju fenomen. Dlatego trudności związane z wyłamywaniem się z owych struktur centralnych są w Rosji nieporównywalnie większe. Wszędzie indziej od początku istniały przesłanki do tworzenia struktur alternatywnych. Stąd łatwiej je było uruchomić.

- Jak realizuje się w Rosji idea „glasnosti”?

- W tej sferze nie nastąpiło wyraźne załamanie. Wyłączywszy telewizję, z której zniknęły poważniejsze programy publicystyczne, a pojawiło się mnóstwo bezpretensjonalnej lekkiej rozrywki. Poza tym panuje ta zdumiewająca swoboda ducha, której w Rosji nie było.

nym stopniu dotyczy to inteligencji, tej najważniejszej substancji duchowej narodu. Właśnie inteligencja musi sobie teraz odpowiedzieć na szereg podstawowych pytań, w tym na pytanie o sens i genezę przewrotu bolszewickiego, do jakiego stopnia to było zawinione także przez nią, o rolę, jaką ona w tym przewrocie odegrała, a nie tylko jaką odegrano nią, o to jaki jest stopień jej odpowiedzialności wobec innych narodowości Związku Radzieckiego, jaki ma być jej stosunek do świata, do swoich najbliższych sąsiadów, w tym także i do nas, czy wreszcie do jakiego stopnia ją samą unicestwiono?

- Proces rozrachunku z przeszłością, proces ekspiacji już się jednak rozpoczął. W jakim obecnie znajduje się stadium?

- Na pewno zidentyfikowano i wyraźnie określono już źródło destrukcji, przy czym o ogromnym postępie świadczy fakt, że przekroczono zakłątą barierę wyłącznej odpowiedzialności Stalina. Jeszcze dwa lata temu '24 rok, rok śmierci Lenina, był ciągle granicą, poza którą nie odważono się sięgnąć. Można było oskarżać Breżniewa, Chruszczowa, Czernienkę, ale Lenin był nietykalny. To tabu dla publiczności już nie istnieje.

- Jednak sondaże publiczne przeprowadzone w ubiegłym roku wskazują, że przeciętny Iwan Iwanowicz uważa Lenina za najwybitniejszego człowieka w dziejach świata.

- Nie należy brać poważnie tych sondaży, bo wszystkie sondaże dotyczące poglądów społecznych powinny się odnosić do inteligencji. Przecież to od niej idą impulsy i ona kształtuje opinię społeczną.

- Czy jednak nie zanadto bagatelizuje się kwestię narodowej nonszalancji Rosjan? Ich ekspansywność w re-



WACŁAW SYSOJEW

TYGODNIK 3
LITERACKI 3

„Decyzje pisarskie były po wojnie bardzo trudne (...) Istniała wówczas alternatywa: albo do kraju wrócić i mieć potencjalnie miliony odbiorców, ale jednocześnie być związanym cenzurą i państwem policyjnym albo zostać na Zachodzie, w wolnym kraju z koniecznością przemykania swoich książek do Polski w pojedynczych egzemplarzach (...) Moja droga była bardzo trudna. Czekalem wiele lat zanim udało mi się wydać pierwszą książkę w języku angielskim. A jednak przez wszystkie te lata zawsze mieliśmy poczucie więzi z krajem, z Wami, z Waszą walką o każde wolniejsze słowo, o każdą wolniejszą myśl. Zawsze mieliśmy niezachwianą pewność, że literatura polska jest jedna. I oto po prawie pół wieku jesteśmy razem we własnym wolnym kraju.”

Józef Garliński
prezes Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie

Jedna czy dwie literatury?

Dnia 17 III br. w Domu Literatury w Warszawie rozpoczęło wspólne spotkanie pisarzy polskich z kraju i Obczyźnie.

Poniżej publikujemy opinie niektórych uczestników spotkania zebrane w trakcie jego uroczystej inauguracji.

Andrzej Braun
(prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich)

– Jak były przyjmowane w polskich środowiskach emigracyjnych krajowe inicjatywy pojednawcze. Ogólnie wiadomo, że odpowiadające sobie organizacje emigracyjne i krajowe nie zawsze się kochały?

– Myślę, że teraz wszyscy jesteśmy już zgodni co do tego, żeby zasypać tę przepaść, którą konsekwentnie wykopywano pomiędzy nami aż do ostatnich lat. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że to sztuczne antagonizowanie wytworzyło taką sytuację, w której, jedni byli demokratami, a drudzy faszystami. W efekcie powstały dwie literatury. My jako stowarzyszenie jesteśmy od dawna otwarci na emigrację. Do SPP wstąpił Herling, Miłosz, Barańczak, Pomianowski, Karpiński i wielu innych, w sumie około czterdziestu twórców mieszkających stale za granicą. Zarząd SPP od 1989 roku prowadzi rozmowy z zarządem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, żeby tę sprawę dwóch ekwiwalentnych stowarzyszeń formalnie uregulować. Tym bardziej, że do stowarzyszenia emigracyjnego, z ośrodkiem w Londynie, jak przyznaje sam prezes Józef Garliński, nie ma dopływu nowych, młodych pisarzy. Z drugiej strony jednak „nowe myślenie” polega na tym, że nie musi być wszystko sformalizowane. Dlatego sprawa uczestnictwa w stowarzyszeniach twórczych będzie nadal przede wszystkim kwestią indywidualnego wyboru.

Tomasz Łubiński

Różnica pomiędzy literaturą emigracyjną a krajową jest bardzo wyraźna. Zresztą nie może być inaczej. Dzieli je pięćdziesiąt lat zupełnie innego życia. Innych napięć, innych wyborów. Konstatacje o jedności to frazesy. Nierzadko bardzo szkodliwe, bo jeżeli chcemy zrozumieć i docenić zasługi literatury emigracyjnej, to musimy mówić o tym, w czym ona jest odrębna.

Według mnie to wielkie szczęście, że mieliśmy te dwie literatury. Wytworzyło się w pewnym momencie coś w rodzaju konkurencji stymulującej jakość w jednym i drugim przypadku. Niejednokrotnie spotykałem się z takimi sytuacjami, jak w przypadku Miłosza, który wyraźnie chciał „pokazać” wszystkim znajomym w Warszawie... Podobnie pisarzami w kraju, mam tu na myśli choćby Iwaszkiewicza, rządziły tego rodzaju motywacje. Z drugiej strony faktem jest, że te dwie literatury słabo się

rozumiały. Pisarz żyjący na Zachodzie nie bardzo zdawał sobie sprawę z trudności wynikających z pisania w kraju, czy z dobrej woli tych pisarzy, którzy – prawie wszyscy, łącznie z tymi w jakimś stopniu oportunistami – chcieli tworzyć wartościową literaturę.

Niewątpliwie to dzisiejsze spotkanie jest próbą wyjaśnienia sobie tych wszystkich nieporozumień, ale jak dotąd nie wydaje mi się, żeby właśnie tak te sprawy naświetlano. Naprawdę wiele spraw byłoby tu do omówienia. Jedną z nich jest choćby to, że literatura emigracyjna była w pewnym sensie zaściankowa, krążąca bez końca wokół toposu kraju dzieciństwa, a paradoksalnie-krajowa puszyła się do świata, do Europy...

Marek Nowakowski

Zbliżyliśmy się do sytuacji normalnej, w której nie będzie już podziału na pisarzy krajowych i emigracyjnych. Ten, kto pisze po polsku jest polskim pisarzem bez względu na to, czy mieszka w Polsce, czy za granicą. To powinno być jedynym kryterium.

– Pojawily się już dzisiaj wypowiedzi zawierające stwierdzenia, że nigdy de facto nie było takiego podziału, że zawsze mimo wszystko była tylko jedna literatura...

To jest fikcja, bo przecież komunizm skutecznie oddzielał od siebie te dwa nurty. Przez dziesiątki lat trwała indoktrynacja komunistyczna zohydzająca literaturę emigracyjną. To musiało dawać rezultaty.

A przecież istniała na emigracji cała plejada pisarzy, którzy są konieczni w naszym krwioobiegu. Również ci mniej znani. Tacy jak Leo Lipski – wspaniały nowelista, Zygmunt Haupt, niedawno znowu wydany przez „Instytut Literacki” etc. To wszystko są fundamentalne dzieła literatury polskiej. Kiedy są razem, to istnieje normalne życie literackie, a tak to życie było kalekie, wykastrowane. Poza tym pisanie w pustce, bez dostępu do rodzimego rynku czytelniczego, może pisarza zadusić. Inna sprawa to nieoceniona działalność wydawnicza na emigracji. Sam wydawałem za granicą przez czas stanu wojennego aż do 1988 roku. Wydawcą, którego cenię najbardziej jest Jerzy Giedroyc. Dzięki niemu istniałem pisarsko przez te lata.

Marek Zieliński

Jestem przeciwny tego rodzaju spotkaniom, bo niewiele z nich wynika. Mogłoby wynikać gdyby naprawdę chodziło o wprowadzenie wartości czy postaci życia emig-

racyjnego do kraju. Tymczasem nawet dobór zaproszonych gości pozostawia dużo do życzenia i to nie jest tylko moja opinia.

Zatem miałyby to jakkolwiek sens gdyby doszło do konkretnej prezentacji twórczości, o której w Polsce niewiele wiadomo, a w ślad za tym do konkretnych decyzji wydawniczych, następnie zaś nawet do zmian w programach lektur szkolnych. Na razie to jest taka trochę fasadowa działalność. Boję się, że u nas zbyt zakorzeniony jest kult fasad. Sytuacja jest taka, że spotkamy się w tym „Domu Literatury” – siedzibie SPP i jednocześnie drugiego związku, tego kolaboracyjnego, odbędziemy kilka towarzyskich rozmów, wysłuchamy kilku natchnionych mówców, a potem to wszystko zniknie nie pozostawiając większych śladów.

Nie chciałbym być niesprawiedliwy, ale

samizdatowe w końcu nie jest wymysłem polskim, a zostało przyjęte z doświadczeń dysydentów sowieckich. Zatem Herling-Grudziński pisząc o Polsce w gruncie rzeczy pisze o fragmencie Europy. Zdaje sobie sprawę, że doświadczenie polskie nie jest odosobnione w Europie Środkowo-Wschodniej. Nie fascynuje się polskimi fajerwerkami wolnościowymi. Podobnie Miłosz, który w *Notach o wygnaniu* pisał, że pisarz emigracyjny musi jak gdyby zbudować się na nowo. Musi pamiętać o kraju swego pochodzenia, ale jednocześnie nie może pozostawać obcy w kraju osiedlenia. Budowa tego połączenia powoduje, że pisarz stwarza siebie samego jako innego człowieka, mogącego spojrzeć na sprawy narodowe również zupełnie inaczej, także z tej nowej perspektywy. Uwalnia się tym samym od polskiej ksenofobii.

Tadeusz Nowakowski

– Czy środowiska emigracyjne godzą się ze stwierdzeniem, że skończyła się już misja dziejowa polskiej emigracji?

– Mówienie o zmierzchu emigracji przypomina mi kasandryczenie tych czarnowidzów, którzy kiedyś głosili, że trzeba zain-tonować rekiem nad stygnącymi zwłokami „Solidarności”. Przecież nikt z nas nie wie, co się stanie. Naszą epokę cechuje wielka niepewność. Polacy powinni pamiętać, że w ich interesie leży posiadać taki „peryskop łodzi podwodnej”, który w godzinie „X” może znowu przydać się Polsce. Powstanie Izraela nie osłabiło diaspory żydowskiej, a przeciwnie – wyznaczyło jej nowe zadania. Przykładów można by znaleźć więcej. Jeżeli my przez pół wieku mieliśmy to wielkie szczęście wstąpić w obcy grunt, nawiązywać przyjaźnie w środowiskach twórczych, politycznych, a nawet ekonomicznych, to byłoby dalece nieuzasadnione ten dorobek zaprzepaszczać. Nonsensem byłoby kierowanie się dziwnie pojętym obowiązkiem patriotycznym i gremialne powracanie do Polski. Zdolnych i mądrych ludzi Polsce nie brak, a na emigracji dobrze, jeśli będzie istniała inna Polska. W ten sposób zresztą rozumuje każda inna diaspora, irlandzka, amerykańska i przede wszystkim żydowska. Niemniej trudno się przyzwyczaić do normalności. Każdy z nas nosił w sobie pewien zakodowany ethos emigracyjny wraz z prywatną mitologią. Podobał mi się sobie w roli Odysa, który wędruje w stronę rodzinnej Itaki. Teraz trzeba będzie to wyb-



FRANCISZEK MAŚLUSZCZYK

rażenie o sobie mocno zweryfikować. My to będziemy robić, ale jednocześnie Polska powinna skorzysta z tego, czego nauczyła się emigracja. Jako szczególnie cenne uznaję bym upór i siłę przesądem o kulturowości i sile martyrologii, właściwie zhierarchizowanie zadań pisarza, który pomoc powinien się realizować przede wszystkim jako człowiek, potem jako artysta, a na końcu dopiero jako ten, który przynależy do określonej wspólnoty narodowej. Miał rację Gombrowicz, kiedy pisał, że nasza literatura za mało zajmuje się człowiekiem jako takim.

Jerzy Jarzębski

„Gdybyż to literatura polska chciała być jedna... Uważam, że ona jeszcze jedna nie jest i aby literatura emigracyjna i literatura krajowa stały się jednością, to muszą zostać spełnione pewne warunki. Najważniejszym jest to, by istniała pewna świadomość jednocząca te dwie literatury. Ta świadomość musi mieć charakter społeczny, bo oczywiście tu nie chodzi o to, że ktoś przestudiuje pewną ilość utworów krajowych i emigracyjnych i będziemy mieć pogląd ogólny. To musi wejść w krwioobiegi społeczny. Dlaczego? Dlatego, że literatura emigracyjna w Polsce zaczęła funkcjonować dopiero w tym momencie, w którym staje się podstawą do rozumienia świata, jest elementem programu lektur szkolnych, uczestniczy w tym, co jest tworzeniem świadomości ogólnej. Tutaj przyszły historyk tej jednolitej literatury będzie musiał zdecydować, czy pisze o jakimś bycie idealnym, czy o bycie konkretnym, scalonym wspólną świadomością i wtedy będzie musiał podejść do tego historycznie, to znaczy wziąć pod uwagę to, że w latach sześćdziesiątych i na początku lat siedemdziesiątych literatura emigracyjna w kraju to było kilka zaledwie nazwisk funkcjonujących w świadomości społecznej – Gombrowicz, Lechoń, Wierzyński. I nawet w kręgach uniwersyteckich tych nazwisk zbyt wiele się nie wymieniało. Vincenz, Stempowski, Bobkowski ci następni wielcy literatury emigracyjnej bardzo wolno wchodził w świadomość. I ten, kto będzie o tym pisał, będzie musiał zdać sprawę z tego, jak stopniowo łączyły się te dwie połówki literatury polskiej. Druga sprawa to kwestia perspektywy, dlatego że jeśli będziemy patrzeć na literaturę emigracyjną z perspektywy literatury krajowej, to będzie to zawsze myślenie interesowne. Spojrzenie na literaturę emigracyjną z punktu widzenia kraju nie było spojrzeniem obiektywnym, bo nie mogło nim być. Pisarze zrzeszeni w Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie oburzają się często, kiedy wymienia się Gombrowicza, czy też Miłosza, zapominając o innych, którzy pełnili bardzo ważną rolę na obczyźnie, a mniejszą w kraju. Kraj brał z literatury emigracyjnej to, co mu było potrzebne w danym momencie to co Polakom w kraju pozwalało mieć jakieś złudzenia, że są europejczy, czy że są światowi. Można z kolei na literaturę krajową patrzeć z perspektywy emigracyjnej, choć oczywiście jest to pewne nadużycie terminu. Wtedy z literatury krajowej wydobywa się tylko to, co jest niepodległościowe, antykomunistyczne, zapominając o tym, że to funkcjonowało w kontekście znacznie szerszym i bardziej skomplikowanym. I wreszcie istnieje trzecia możliwość – spojrzenie syntetyczne ponad sporami między emigracją a krajem, lecz wtedy z kolei to mogłoby przypominać jakiś abstrakcyjny punkt widzenia.” (fragment wystąpienia)

Adam Czerniawski

– *Czym dla Pana jest to spotkanie?*
– Ono ma tę zasadniczą wartość, że przyjechali do kraju ludzie, którzy bez oficjalnego zaproszenia prawdopodobnie by nie przyjechali. Mam nadzieję, że jego inicjatorem nie był tylko Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, bo według mnie to nie jest związek, który reprezentuje piarstwo polskie. Tak czy inaczej to spotkanie posiada wymiar symboliczny.
– *Jak rozumie Pan termin „literatura emigracyjna”?*

– Jest to epitet, który został narzucony przez sytuację polityczną. Epitet, jeżeli nie wykreowany przez „zimną wojnę”, to przez nią utwierdzony. Im częściej opowiadano, że ta literatura jest zbiorem grafomanii, za którą kryją się głównie działania agentów obcego mocarstwa, tym bardziej ludzie stamtąd zasklepiali się w swojej inności, odrębności. Ja przynajmniej starałem się cały czas manewrować tak, żeby nie być pod presją ani jednej, ani drugiej strony. Byłem pewien, że te naciski wiele się od siebie nie różnią. W kraju było UB, ale też na emigracji nie było pełnej wolności w mówieniu prawdy o emigracji. Nie raz byłem ofiarą cenzury emigracyjnej. Pomijając jednak tę tragedię, jaka dotknęła nasz naród twierdzę, że w pewnym sensie dobrze nam zrobiło to rozproszenie po świecie. Obecność różnych twórców w różnych kulturach wzbogaciła polską literaturę. Przykłady można by mnożyć, ale na pewno inny byłby Gombrowicz gdyby nie trafił do Argentyny, wielu rzeczy nie napisałby Leo Lipski gdyby nie znalazł się w Izraelu, nie powstałyby piękne poematy Bogdana Czaykowskiego gdyby nie jego obecność w Kanadzie.

– *Dwa główne ośrodki polskie na wychodźstwie, to ośrodek paryski i londyński. One zasadniczo różniły się od siebie...*

– Ludzie skupieni od pewnego momentu wokół „Merkurysza Polskiego” byli za Giedroyciem, Giedroyc był za nami. Dzięki niemu mogliśmy się rozwijać, mieliśmy możliwość publikacji na łamach „Kultury”. Nie mieliśmy natomiast możliwości pełnego wypowiedzenia się w Londynie. Polski Londyn był nam zawsze w zasadzie wrogi. Stąd też wynikała konieczność założenia własnego pisma. Wyrwaliśmy się w ten sposób spod jarzma żądań starej emigracji.

– *Na czym polega specyfika pokolenia „Merkurysza Polskiego”?*

– Jesteśmy w historii polskiej literatury swego rodzaju ewenementem. Paryskie pokolenie emigracyjne, to dziewiętnastowieczne, czy emigracja z ostatniej wojny były tworzone przez ludzi ukształtowanych jeszcze w kraju. Podobnie było w przypadku Miłosza, Barańczaka, czy Zagajewskiego. My natomiast jesteśmy zupełnie odmienną formacją. Wszyscy wychowaliśmy się poza krajem.

– *Jest Pan nie tylko poetą, ale także cenionym tłumaczem. Czym podktywany był ten drugi wybór, indywidualnymi preferencjami, czy raczej powinnością?*

– Już w latach szkolnych zdałem sobie sprawę, że literatura polska jest pod tym względem jakby upośledzona. Postanowiłem, że wpłynę jakoś na tę ignorancję świata. Zaczęłem od tłumaczeń Norwida. Potem odkryłem Różewicza, Herberta, Staffa, Szymborską. Sposród poetów czasów okupacji fascynował mnie Stroiński. Przełożyłem całą jego prozę poetycką. Z czasem podjąłem się tłumaczenia poezji dysydencji, a więc Krynickiego i Barańczaka. Najmłodszym z poetów, którzy wywarli na mnie wrażenie jest Bronisław Maj. Te i inne nazwiska znalazły się w mojej antologii wydanej kilka lat temu pt. *The Burning Forest*. Niedawno wydawca w Londynie poprosił mnie o wznowienie tomu wierszy Różewicza powiększonego o nowe wiersze.

– *W kraju utarł się pogląd, że literaturę polską zdominowały dwa nazwiska: Miłosz i Herbert. Czy Pan zgadza się z taką hierarchią?*

– Według mnie Herbert uprawia poezję bez ryzyka. W jego poezji nie ma upadków, ale nie ma też wzlotów. On ujawnił się na pewnym poziomie i na tym poziomie trwa. W tym sensie góruje nad nim Różewicz poprzez właśnie szaloną różnorodność swojej poezji. W przypadku Miłosza niepokoi mnie owa aura nietykności, bezkrytyczności wokół niego. On jest niewątpliwie wielkim pisarzem, ale przecież nie można tylko przed nim klęczeć. Trudno mi w tej chwili przeanalizować stan życia literackiego w Polsce, ale nasuwa mi się jeszcze pewne spostrzeżenie. Mianowicie w kraju, tak samo zresztą jak i na emigracji brakuje krytyki stricte estetycznej. Wartościując czyjaś

twórczość zbyt mocno akcentując się osobę samego autora, jego światopogląd, sympatie polityczne, etc. To musi się zmienić. Inaczej literatura będzie ubożała.

Krzysztof Rutkowski

– *Od jak dawna nie mieszka Pan w kraju?*

– Od siedmiu lat.

– *Czy czuje się Pan emigrantem?*

– Nigdy nie czułem się emigrantem. Zaczęło się od tego, że wyjechałem na chwilę do Paryża, żeby zebrać materiały do swojej książki o Mickiewiczu i Towiańskim. Potem okazało się, że trzeba opracować archiwum Aleksandra Wata, przetłumaczyć książkę

Polacy na Ukrainie. Nie mogąc oprzeć się swoim dziewiętnastowiecznym fascynacjom, zacząłem zbierać pieniądze, żeby wyjechać do Rzymu i tam poszukać w Archiwum Zmartwychwstańców. W trakcie okazało się też, że jest szansa interesującej pracy w RWE, gdzie w rezultacie spędziłem dwa lata. Cały czas trzymała mnie za granicą praca, a z czasem przyzwyczajenie. Okazało się, że bardzo z Paryżem do siebie pasujemy. Zdecydowałem, że zostanę tam dopóki mi na to życie pozwoli.

– *Czy poza ową kanoniczną listą cenionych nazwisk twórców emigracyjnych pojawiły się w ostatnich latach we Francji nowe rokujące nadzieje postaci?*

– Przyznaję, że niewielu znam takich pisarzy. Jednym z nich byłby na pewno Tadeusz Korzeniewski, który zadebiutował bardzo ciekawą książką *W Polsce*, ale on nagle zniknął. Zapodział się prawdopodobnie gdzieś w Stanach Zjednoczonych. Podobnie straciliśmy z pola widzenia Jacka Bierzina – poetę związanego w jakiś sposób z „Nową falą”. Obecnie pracuję w piśmie „Kontakt” poeta młodszego pokolenia – Maciej Niemiec. Być może wynika to u mnie z jakiegoś skrótu perspektywy, ale nie znam wielu tego typu nazwisk. Myślę, że jednak sporo osób z młodszego pokolenia wróciło do kraju. Trzeba sobie bowiem zdać sprawę, że jeżeli ktoś decyduje się teraz na pobyt za granicą, to musi przede wszystkim umieć zarobić na życie.

– *Co stanie się z wieloma instytucjami emigracyjnymi? Środowisko londyńskie na przykład od grudnia ubiegłego roku realizuje plan samolikwidacji.*

– Również najbardziej zacne instytucje we Francji poddają się samolikwidacji, bo są przenoszone do Polski. Wydawnictwo „Spotkania” ma już w kraju swoje przedstawicielstwo, „Zeszyty Literackie” również mają swoją edycję krajową. „Instytut Literacki” boryka się z coraz większymi trudnościami finansowymi. Była to zresztą jedyna instytucja emigracyjna, która utrzymywała się z prenumerat. Zatem jest to jakby koniec pewnej epoki i z tego trzeba sobie wyraźnie zdać sprawę. A jest jeszcze bardzo dużo do zrobienia. Otóż należałoby się skupić teraz głównie na tłumaczeniu i popularyzowaniu literatury polskiej. Powstało już na przykład bardzo dynamiczne wydawnictwo „Noir surr blanc”. To jest wydawnictwo szwajcarskie, które otworzyło swoje biuro w Paryżu i niedawno również w Warszawie. Zajmuje się ono głównie tłumaczeniem literatury polskiej i innych literatur Europy Środkowo-Wschodniej na język francuski. Ale to też mało. Należałoby nawiązać współpracę z zachodnimi mediami. Powstał już projekt stworzenia wspólnego programu telewizyjnego. Byłby to magazyn kulturalny nadawany jednocześnie w telewizji francuskiej i polskiej, oczywiście w obu wersjach językowych. Tego rodzaju przedsięwzięcia powinni oczywiście realizo-



FRANCISZEK MAŚLUSZCZAK

wać już nie tylko emigranci, chociaż na pewno bezcenne jest ich doświadczenie i wiedza, jakie zdobywali latami.

Nina Taylor

– *Mówiąc o zjeździe użyła Pani terminu „polski barok”. Co on oznacza?*

– Nie pamiętam już czy ja to wymyśliłam, czy mój znajomy sławista z Oxfordu „Polski barok” to rozbudowane formy mówione. To sztuka mówienia, której ponieważ zazdroścę Polakom, którzy umieją improwizować, mają w tym wiele doświadczenia i mogą rozmawiać na każdy temat w nieskończoność. Ja tego nie potrafię, więc pewnie jest w tym trochę zazdrości. Jestem pełna podziwu dla ogromnego dorobku krytyczno-literackiego, który jest owocem badań literaturoznawców w tym kraju, i do prawdy nie wiem, co bym bez niego zrobiła. Szkopuł w tym, że kiedy piszę po polsku, to mogę przytaczać teksty krytyczne bez żadnego problemu, bez żadnych ograniczeń. Kiedy jednak piszę po angielsku i chcę zacytować coś z polskiej krytyki, muszę wszystkie opinie, określenia przetłumaczyć, względnie streścić, i często bywają z tym kłopoty. Reszta bowiem w przekładzie okazuje się czystą retoryką. Trzeźwy, przyziemny język anglosaski odsłonił to bardzo wyraźnie. I przez to zniechęcałam się do tłumaczenia polskiej krytyki.

– *Kolekcjonuje Pani biografie pisarzy polskich tworzących za granicą. Ma Pani zapewne również dostęp do książek autorów debiutujących. Jakich lotów jest to piarstwo?*

– Staram się dotrzeć do wszystkich nowości z bibliograficznego obowiazku. Czytam przede wszystkim te książki, które są lub mogą być przedmiotem moich badań, ale docierają do mnie opinie, że niestety część z nich to czysta grafomania. Zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych istnieje wiele małych oficy, które bardzo niskim nakładem wydają pozycje nie zawsze najwyższej próby. Mogłoby to posłużyć za świetny temat do szerszego opracowania krytycznego, którym chyba jednak się nie zajmę. Jest tak wiele znakomitej literatury do czytania...

– *Czy możliwa jest, Pani zdaniem, synteza literatury krajowej i emigracyjnej?*

– Na razie o syntezie nie może być mowy, nie ma bowiem solidnie opracowanej historii polskiej literatury powojennej. Warunkiem stworzenia próby syntezy jest posiadanie przywoicie opracowanej historii powojennej literatury krajowej. Musi zostać także opracowana literacko i historycznie cała literatura emigracyjna. A potem można spróbować coś z tym zrobić. Jeżeli nie wyjdzie z tego synteza, to może uda się to przedsięwzięcie jako komparatystyka.

Opracowali: Anna Bokiej
Waldemar Gasper
Bogna Świątkowska

TYGODNIK 5
LITERACKI

- Urodziłem się w roku 1938, 26 października. Rodzice: smutna mamunia i bardzo wesoly tatuś. Był zawiadowcą stacji. Ciągle tylko chodził i lajdaczył się z dziewczkami, chodził i lajdaczył się, a poza tym niczym się, według mnie, nie zajmował.

- A mamunia?
- A mamunia przeżywała.
- Można się naprzyżyc.
- Jeszcze jak, kurwa mać. A tatuś tak się szlajał, szlajał, szlajał, aż doszłajał się, że zrobili na niego donos. No i tyle go widziano w trzydziestym ósmym, kiedy się urodziłem. Ujrzyliśmy go dopiero w pięćdziesiątym czwartym. Oczywiście, artykuł 58. Wypominano mu, że po pijanemu znieważał władzę radziecką, waląc pięścią w stół.

- Prawdę mówiąc, trudno sobie wyobrazić, że byli ludzie, którzy jawnie lżyli władzę radziecką.
- A dlaczegoż by nie - na tej małej stacji, w dodatku pod gazem. Na stacji Pojakonda w okolicy Koła Polarnego.

- A dokąd go też zesłano z Kola Polarnego?

- No właśnie - na Krym.
- Rzeczywiście na Krym?
- Żartuję. Zesłali go raptem 12 czy tam 10 tysięcy kilometrów na wschód.

- Czyli chowałeś się bez ojca? I żyliście tak z matką na tej małej stacji?

- Nie, zabrano mnie do Domu Dziecka miasta Kirowska obwodu murmańskiego, i tam vegetowałem.

- A mamusia gdzie się podziała?
- Mamunia drapnęła do Moskwy.

- Porzuciła cię?
- Tak.

- Od jakiego momentu pamiętasz sam siebie?
- W szkole średniej już pisałem. Utwory.

- A najwcześniejsze w życiu doznanie?
- Najwcześniejsze wspomnienia są, nie wiedzieć czemu, najbardziej ponure. Nieboszczka matka rozkazała wszystkim starszym braciom i siostram - pojeździe do łóżeczka i pożegnajcie się z nim. Czyli ze mną.

- Dlaczego?
- Wszystko przez lekarza. Powiedział: chujowa sprawa. Bardzo, bardzo mądry lekarz. To był rok czterdziesty pierwszy, czyli że miałem dwa i pół roku. Bardzo mądry lekarz.

- A więc do szkoły chodziliście w Domu Dziecka. Wspomnienia, ma się rozumieć, świetlane?

- Ani jednego świetlanego wspomnienia. Nieprzerwane mordobicie i kult siły fizycznej. Nic więcej. Tym bardziej, że to najpodlejsze lata. Czterdziesty szósty, czterdziesty siódmy.

- W czterdziestym siódmym słyszało się, na przykład, że w Murmańsku sprzedają na rynku mięso, w którym można znaleźć ludzkie paznokcie.

- Pamiętam, co prawda, było to już w latach pięćdziesiątych i w Moskwie, no więc wtedy gadano, że z dzieci robi się mydło.

- Krótko mówiąc wszystko to gówno pierdolone nie do wytrzymania i te twoje pogłoski wcale mnie nie dziwią.

- Wieniecza, a amnestię 1953 roku pamiętasz?

- Dobrze pamiętam, bo chodziłem wtedy do ósmej klasy, a cały półwysep Kolski pełen był tych obozów, jednym słowem - więcej widzieliśmy drutu kolczastego niż czegokolwiek innego. Tak aż do dziesiątej klasy. I nagle ich zwolniono. I wtedy ten obrzydliwy, głupkowaty lud rozpuścił słuchy... i w samej rzeczy, ci wypuszczeni na wolność - bandyci, jak ich wtedy nazywano - rzeczywiście nie zachowywali się najlepiej, ale te słuchy były w pięćdziesiątym trzecim roku tak sztucznie rozdmuchiwane, monstrualnie wyolbrzymione, przechodziłem właśnie z klasy ósmej do dziewiątej, to był na półwyspie Kolskim czas zupełnie potworny. W każdym razie z nadejściem zmroku matka zagarniała nas do domu, a jesienią noc zapada sam wiesz kiedy.

- Czyli mamusia wtedy już wróciła?
- Wróciła. W Domu Dziecka uczyłem się do ósmej klasy.

- A jak ją przyjąłeś?
- No coż, matka to matka. Nie mogła inaczej.

- Wienia, a w Domu Dziecka należałeś do tych, których bito, czy tych, którzy bili?

- Byłem neutralny i starannie wszystko obserwowałem.

- Na ile to było możliwe - pozostawanie neutralnym?

- Można było znaleźć taką pozycję, to było całkowicie wykonalne, że udawało się znaleźć taką małą i nader wygodną pozycję obserwatora. Ja ją zająłem. Być może, nie była to specjalnie wysoka pozycja, ale mam gdzieś wysokość.

- A tworzyć zacząłeś w Domu Dziecka, czy już w szkole?

- Zacząłem jeszcze przed pójściem do szkoły.

- Cóż tworzyłeś w tak niewinnym wieku?

- „Zapiski wariata”.
- A kto był wariatem?

- Ja, oczywiście.

zapędzono ich tam siłą, chociaż sami mówili, że to z potrzeby serca. Rozumieliśmy, co to jest potrzeba serca. Najlepsi absolwenci Uniwersytetu Leningradzkiego przyjechali nas uczyć na półwysep Kolski. Ci skurwiele wyciskali z nas wszystko, co się dało. Takich wymagań nie widziałem później w żadnej szkole.

- Być może, dlatego właśnie jesteś taki wykształcony?

- Całkiem możliwe.

- Jerofiejew, jesteś dogłębnie wykształconym człowiekiem. Wątpię, żeby rodzice mieli dobrą bibliotekę, nie sądzę, aby była w Domu Dziecka albo w szkole...

- Obserwowałem swoich kolegów - oni po prostu nie lubili czytać. To tak jak, dajmy na

i Engelsa, każde złe słowo o Hercenie wprost drażni moją duszę. Szanuję go nie za dysydenctyzm, ale za to, że to wybitny myśliciel i wspinał się człowiek, wszyscy go kochają, wszyscy są w tym zgodni, od Kajsarowa do Awierincewa, od Eichenwalda do Eichenbauma. Jeżeli w stosunku do Radiszczewa są drobne różnice zdań, to Aleksander Hercen nie wzbudza sprzeciwu. I słusznie czyni, że nie wzbudza.

- Nawet u ciebie - przy twoim krytycznym umyśle?

- U mnie też nie wzbudza. Właśnie niedawno przeczytałem drugi tom, taki równy gość, że rozdziałiasz... no, wszystko rozdziałiasz.

- A jak z Piotrem Czaadajewem?
- Co tu mówić o Piotrze Czaadajewie, sko-

Wariatem można być w każdym wieku

z Wieniediktem Jerofiejewem rozmawia Leonid Prudowski

- W wieku sześciu lat?
- Wariatem można być w każdym wieku.

- Jak to jest - w wieku sześciu lat czułeś się wariatem?

- Bardzo interesująco.

- To znaczy tak się czułeś, czy stworzyłeś taką maskę?

- Jasne, że maskę. Niestety, te głupie matczki - niczego nie przechowują. Moja siostra Tamara Wasilijewna, zuch-dziewczyna, przechowała wszystkie moje listy od roku pięćdziesiątego piątego do osiemdziesiątego ósmego. Taki z niej chwast. A moja pierwsza teściowa to stawiała na moich rękopisach swoje patelnie z rozmaitym chujostwem.

- Wienia, a czy mógłbyś przypomnieć sobie teraz treść tych zapisków?

- To zna jedynie moja matczka. Choć zabij, nie pamiętam. Pierwsze świadome pisanie zaczęło się od roku pięćdziesiątego szóstego, wtedy, gdy kończyłem pierwszy semestr na Uniwersytecie Moskiewskim. Wtedy się właśnie zaczęło to, co teraz trochę bym obrobił, trochę bym...

- A to się zachowało?

- Zachowało się. Ale poprosiłem człowieka, u którego to wszystko leży - pięć grubych zeszytów - żeby nie wydawał tego przed moją śmiercią.

- Czy to w porządku, panie Jerofiejew?

- W porządku. Dlatego, że tam jest tego tyle, co się nie nadaje, tyle niecenzuralnego, jeśli by powiedział tak, po rosyjsku...

- Niecenzuralnego językowo czy stylistycznie?

- Wszyscy ci krety - Aleszkowscy, Limonowowie - włoką się w ogonie, i do tego jeszcze w dwudziestoletnim ogonie...

- Czytał to ktoś jeszcze oprócz tego przyjaciela?

- Nikt. Chociaż owszem, czytali koledzy ze studiów...

- Czyli nie można powiedzieć, że to wywarło jakiś wpływ na Limonowa i Aleszkowskiego?

- Boże broń! To jest wcześniejsze chronologicznie, ale żadnego wpływu...

- Cofnijmy się. Po siódmej klasie uczyłeś się w zwykłej szkole?

- Od ósmej do dziesiątej klasy uczyłem się w normalnej ogólnokształcącej.

- Duża różnica?

- Duża. Ale pokonałem ją. Wyobraź sobie, była u nas klasa dziesiąta „A”, i dziesiąta „B”, i dziesiąta „C”, i dziesiąta „D”. A ja chodziłem do dziesiątej „K” i jako jedyny ze wszystkich dziesiątych dostałem złoty medal. Mieliśmy diabelnie wymagających nauczycieli. Więcej takich nauczycieli nie spotykałem, a tym bardziej na półwyspie Kolskim. Najwyraźniej

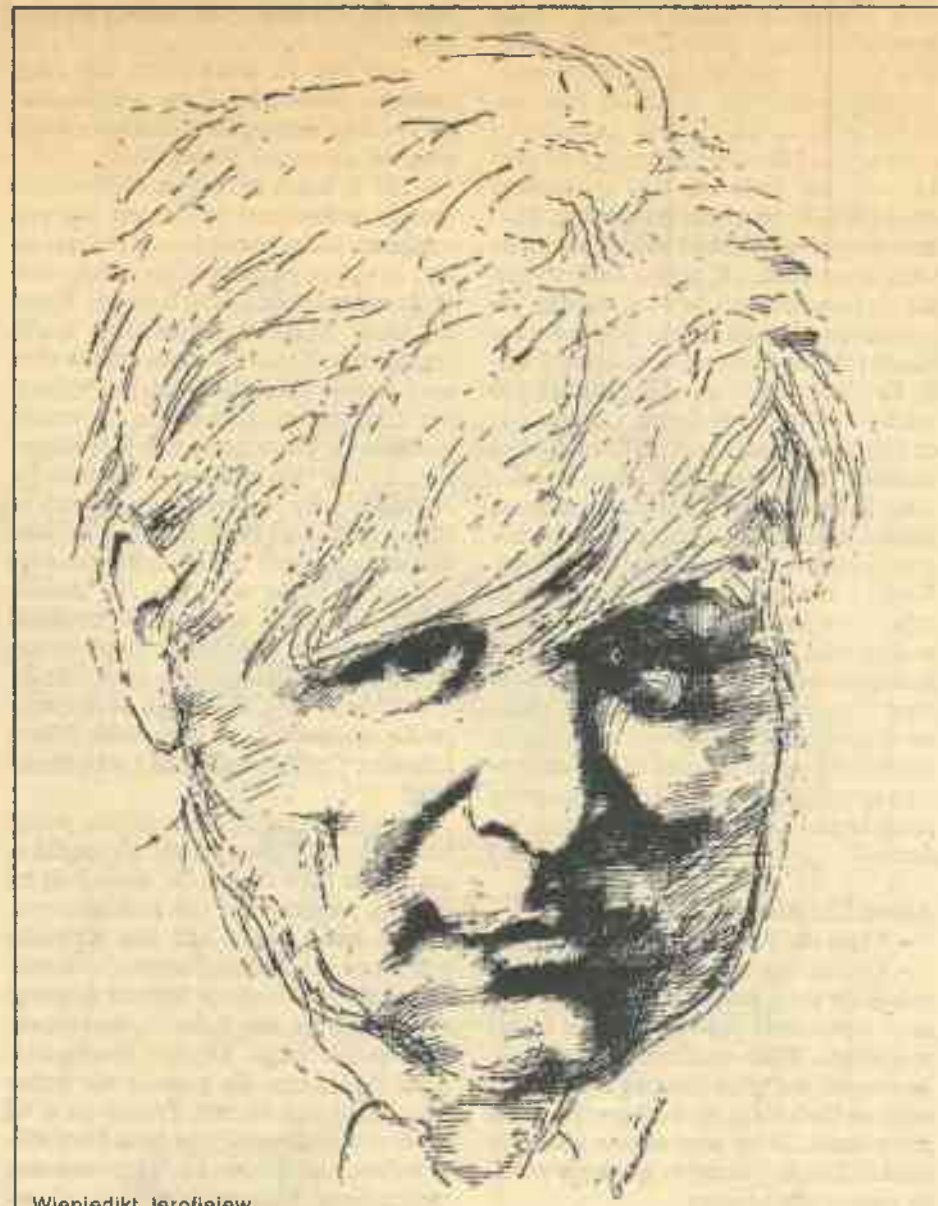
to, są ludzie, którzy nie lubią wypić. Dlatego nietrudno było tam się wyróżnić, bo wszyscy byli, jakby to krótko powiedzieć... no, wały. Albo jeszcze gorzej, ale, żeby nie obrażać uszu... Taki był podstawowy kontyngent. A kiedy kończyłem dziesiątą klasę na Wzgórzach Leninowskich wzięli wtedy ten idiotyczny pomnik na miejscu przysięgi Hercena i Ogariowa. I postanowiłem tam do niego przylgnąć. Hercena do tej pory szanuję...

- Ale za co - czy za to, że był jednym z dysydentów?

- Kiedy czytam korespondencję Marksa

ro go dopiero teraz wydano. A ten kutas Urnow mówi, że są utwory, które zostały zabalsamowane przez długie stanie na półce i niewydawanie. Wziąłby, kutas, dla przykładu choćby Radiszczewa czy Aleksandra Gribojedowa, Piotra Czaadajewa - czyżby było w nich tyle życia, ile tchnęło balsamowanie? Przez długotrwałe zakazy - jak mówił: że niby są utwory namaszczone przez długotrwałe zakazy, a inaczej by ich nie czytano.

- Co sądzisz o takiej zdumiewającej w rosyjskich dziejach rzeczy, że taki wiernopoddańczy człowiek jak Aleksander Gribojedow stał się



Wieniedikt Jerofiejew

JACEK GAWLOWSKI

znakomitym satyrykiem? Napisał taką świąteczną satyrę na cały system, jak „Mądremu biada”?

- To nie wszystko: przyjaźnił się z największą szumowiną w Rosji, i, jak mówi władza radziecka, dla nikogo nie jest to tajemnicą. To nie sekret, że był wielkim przyjacielem Mikołaja Griecza i Fadieja Benedyktowicza Bułharyna.

- Czy to właściwość talentu - że dyktuje piszącą rękę, nie zważając nawet na poglądy?

- Diabli wiedzą.

- A jak się żyje w Rosji z rozumem i talentem?

- Można. Tu można żyć. Jeżeli dolożyć starań. Czyli wykazywać jak najmniej rozumu, jak najmniej talentu, pożyjesz sobie wtedy wspaniale. Obserwowałem to na sobie, i nie tylko na sobie.

- Jak to? O ile wiem nigdy nie dałeś się kupić.

- Jeszcze tego brakowało!

- A pokusy miałeś?

- Ani razu. Ze mną to się nie zdarzało. Tak się składa, że ja jestem z tych ciutów nie kuszonych i nie skuszonych.

- Dobrze. Nie kupowali. Ale nastraszyli chcieli. To wiem dokładnie.

- No, wielkie rzeczy. To było w latach pięćdziesiątych.

- W siedemdziesiątych też. Pamiętasz, ukrywałeś się przed poborem do wojska...

- Nie o to chodzi. Wiosna sześćdziesiątego drugiego. Przychodzi facet i mówi: „Pan jest Jerofiejew?” - „Tak”. - „Potrzebuję pan pistoletów?” Wyobraź sobie, miasto Włodzimierz. Leżę, głowa pęka od kaca, muszę, choćby nie wiem co, wypić klina, a ten kutas pyta: „To potrzebne są panu pistolety?” Ja na to: „Po cholere mi pańskie pistolety? Daj mi pan wypić piędziesiątkę, a potem pogadamy o pistoletach”. A ten się przyczepił: „Nie, proszę powiedzieć, Jerofiejew pan jest, czy nie Jerofiejew?” - „Jerofiejew, do kurwy nędzy!” - „Acha. To znaczy potrzebuje pan pistoletów”.

- Wieniczka, w jaki sposób znalazłeś się na Uniwersytecie Moskiewskim?

- Jak tylko skończyłem dziesiątą klasę i kiedy wręczono mi spośród... ile ich tam było, tych dziesiątych klas, chuj to spamięta, i ja z dziesiątej „K” dostałem złoty medal, wtedy ruszyłem i po raz pierwszy w życiu przekroczyłem Koło Polarne, tyle że w kierunku z północy na południe... I oto w siedemnastym roku życia po raz pierwszy ujrzałem wysokie drzewa, zobaczyłem po raz pierwszy krowy.

- A co się tam u was, poza więźniami, spotykało?

- Oprócz więźniów nie było niczego... A tutaj zobaczyłem krowę i zaparło mi dech. Zobaczyłem wysoką sosnę i zamarło mi serce... No i rok pięćdziesiąty piąty. A z tym medalem była tylko rozmowa, i ten kutas tak mnie chciał zagiać, ale nie udało mu się. Odpowiedziałem mu na wszystkie pytania, nawet te, których nie zadawał. I pokazał mi drzwi. A cóż mu jeszcze pozostało? Te drzwi to było wejście na uniwersytet. Na filologię.

- A jak się potem znalazłeś we Włodzimierzu?

- To już nietaktowne pytanie.

- Jak dalece nietaktowne?

- Ponieważ między uniwersytetem i instytutem byłem palaczem, przyjmującym butelki, milicjantem.

- W takich wypadkach pisze się zwykle stwardem i reporterem.

- Do tego nie doszło.

- A świadomie pisać zacząłeś w MGU?

- Pisać zacząłem na uniwerku. Bardzo dobre kawalki...

- Za to cię wyrzucono?

- Nie, nie! Tam nie było żadnych pas-kudztw, żadnej polityki... była jakaś inna fala, która poruszała wszystkich...

- A kto to czytał?

- Moi znajomi, i to wystarczy.

- Więc za co cię wyrzucono?

- Po prostu przestałem chodzić na wykłady i na seminaria. To było i nudne, i bez sensu. Rano budziłem się i myślałem, czy pójść na wykład albo seminarium, i myślę: na chuja mi to potrzebne - i nie wstawałem, i nie wychodziłem. Czyli miałem taki... no, nie system kontemplacyjny...

- Powiedz, czy nie wstawałeś z powodu zagrożenia się w sobie czy po wczorajszym?

- Jakie tam przeżywanie wczorajszego? Po prostu nie wstawałem widocznie dlatego, że inni za bardzo wstawali. I diabelnie mi się to nie podobało. No i idźcie sobie, piździelcy, a ja zostanę w łóżku, bo myśli mi starczy do wielkiego chuja.

- A ta słynna pieśń „Obudź się, wstawaj, kędzierzawa...” - nie poruszała cię?

- Poruszała. Dlatego że bardzo lubię Dymitra Szostakowicza.

- I mimo wszystko nie wstawałeś?

- Mimo wszystko - brałem się w garść i nie wstawałem.

- Więc za co cię wywalili - bo jak długo można nie wstawać??

- Wywalili mnie głównie przez wojsko. Temu ścierwu majorowi, który, kiedy wszyscy staliśmy mniej więcej na baczność, chodził i przekonywał, że najważniejsze w człowieku to postawa, powiedziałem: „To jest hasło Hermmana Goeringa: „Najważniejsze w człowieku - to postawa”. A nawiasem mówiąc, w czterdziestym szóstym powieszono go”.

- A jak wielka była w momencie wyrzucenia z uniwersytetu twoja popularność?

- Ograniczała się wówczas, prawdę mówiąc do dwóch-trzech pokoi, a bynajmniej nie do dziewiętnastu państw.

- Czy nie kuszono cię? Czy nie szeptano, że skoro piszesz, to powinieneś drukować?

- Nie. Byli wśród nich tacy, jakby coś-niecoś dostrzegający, jak Wołodia Murawiw - też kolega z roku.

- Czyli zebrała się tam zadziwiająco przyzwolna publiczność?

- Tak. Trochę jakby carskosielska, taka küchelbeckerowska, w nieco gorszym wydaniu. A ja tam byłem kimś w rodzaju barona Delwiga.

- Też byłeś taki tłusty?

- Nie, przeciwnie. Nie byłem tłusty, ale we wszystkim pozostałym...

- Teraz wdychamy, że nie ma już takich pojęć jak honor i sumienie. Powiedz, czy w tym waszym bractwie takie pojęcia istniały?

- O to właśnie chodzi. Właśnie za to nami pogardzano, że tkwiliśmy w nas... cała ta nienawistna brać - zapomniałem ich nazwisk, więc nie mają znaczenia. Nikt nigdy nie przypomniał sobie ich nazwisk. Wszyscy inni patrzyli na nas jak na zadżumione dzieci.

- To znaczy właśnie na obecność u was tych pojęć?

- Choćby dlatego.

- Murawiw, kto jeszcze - może jeszcze kogoś sobie przypominasz?

- Trochę się odmiennili... no, choćby Katajew... nie z tych Katajewów.

- No dobrze. Nastąpiło wypędzenie z MGU szeroko znanego w wąskich kręgach pisarza. Czy to znalazło jakiś wyraz w opinii publicznej?

- Ani trochę. Odszedłem po cichutku, bez żadnych efektów. Pięć lat później odchodziłem z Włodzimierskiego, każdy kto mnie spotykał, kto zadawał pytanie, gdzie sprzedają wódkę - w jednym sklepie jest, a w innym nie - taki człowiek podlegał natychmiastowemu usunięciu z instytutu pedagogicznego. Oto do jakiego stopnia byłem niebezpieczny, a mówiłem tyle tylko, że to parodia na „Moskwa-Pietuszki”. Mówiłem w gruncie rzeczy jedynie o wódce. Zdecydowanie o wódce i o niczym więcej. I dlaczego się przyczepili do książki? Dlaczego konfiskowano ją na każdej rewizji? Niemożliwi ludzie z tych bolszewików.

- Wieniczka, a co robiłeś po odejściu z uniwersytetu, kiedy cię naturalnie, wyrzucono z akademika?

- Od tamtego czasu zmieniłem, mniej więcej, dwanaście zawodów.

- A gdzie mieszkałeś?

- O mój Boże, mieszkałem w Tambowie, w Jelcu, w Briansku - można tak wymienić wszystkie miasta. I złoty pierścień, i nie złoty.

- To znaczy, że z Moskwy wyjechałeś od razu?

- No, oczywiście. Krótko mówiąc: tak bym też zwiądł na Ukrainie w pięćdziesiątym dziewiątym roku, gdyby nie pewien znajomy, co sobie trochę wypił i zaproponował mi: masz przed sobą globus, zakręć go, Jerofiejew,

zamknij oczy, zakręć i wceluj palcem. Wziąłem go, zakręciłem, zamknąłem oczy, wycelowałem palcem - i trafiłem na miasto Pietuszki. To było w pięćdziesiątym dziewiątym roku. Potem popatrzyłem, co jest w pobliżu z wyższych uczelni, no i był Włodzimierski Instytut Pedagogiczny.

- I przyjęli cię z marszu?

- Jakże inaczej! A złoty medal?

- A rozmowa kwalifikacyjna?

- Praktycznie jej tam nie było. Jaka tam, do chuja, rozmowa.

- A teraz opowiedz: w jaki sposób rozłożyłeś Włodzimierski Instytut do tego stopnia, że nawet twoje imię stało się zakazane?

- Tak. Teraz przepraszają. Jednakowo mnie śmieją te takie - przeprosiny Belgii za niemądre faux pas Holandii... Nie wiedzieć czemu Belgia tłumaczy się za Holandię. Tak samo mnie śmieją, kiedy włodzimierska gazeta „Iskra komsomolska” drukuje moje mniej lub bardziej mętne dane biograficzne, chociaż ta sama gazeta wiosną 1962 roku żądała wydalenia mnie na zawsze poza granicę miasta Włodzimierza i obwodu włodzimierskiego. Każdy człowiek, który spotyka się z Wieniediktem Jerofiejewem, podlega natychmiastowemu usunięciu z Włodzimierskiego Państwowego Instytutu Pedagogicznego imienia Lebidiewa-Polańskiego. I w ogóle z terenu.

- Czyli stałeś się persona non grata?

- Żeby jeszcze persona non grata. Czyli człowiek, który by do mnie kiwnął głową przy spotkaniu, sam już zostałby persona non grata. A, co tam gadać o mnie.

- No ale jednak czym ich ugodziłeś? Włodzimierz jest przecież blisko stolicy. Czego się tak przestraszyli?

- A tego to już nie wiem. Chociaż trochę ich rozumiem. Mimo wszystko, kiedy miałem się żenić, zawieszono zajęcia na wszystkich wydziałach Włodzimierskiego Państwowego In-

stytutu Pedagogicznego imienia Lebidiewa-Polańskiego, i zbiegła się cała swolocz. Wszyscy się zbiegli. Tylko że nie wiedzieli, dokąd się zbiegać, ponieważ nie wiedzieli, z kim się żenię - nie było wiadomo. Ale na wszelki wypadek wezwali mnie i powiedzieli: „Żenicie się, Jerofiejew?” A ja odpowiadam: „Skąd ten pomysł, że się żenię?” - „Jak to? To my już wszystkie cerkwie... wszystkie działające cerkwie Włodzimierza otoczyliśmy, a wy się nie żenicie”. A ja na to: „Nie chcę się żenić”. - „No nie, ale z kim się żenicie - z Iwaszkina czy z Siemakowa?” Wtedy ja: „Jeszcze się zastanowię”. „No nie, taka twoja mać, on się jeszcze zastanawia! Cerkwie otoczyliśmy, a ten drań się jeszcze zastanawia!” To był kwiecień sześćdziesiątego drugiego.

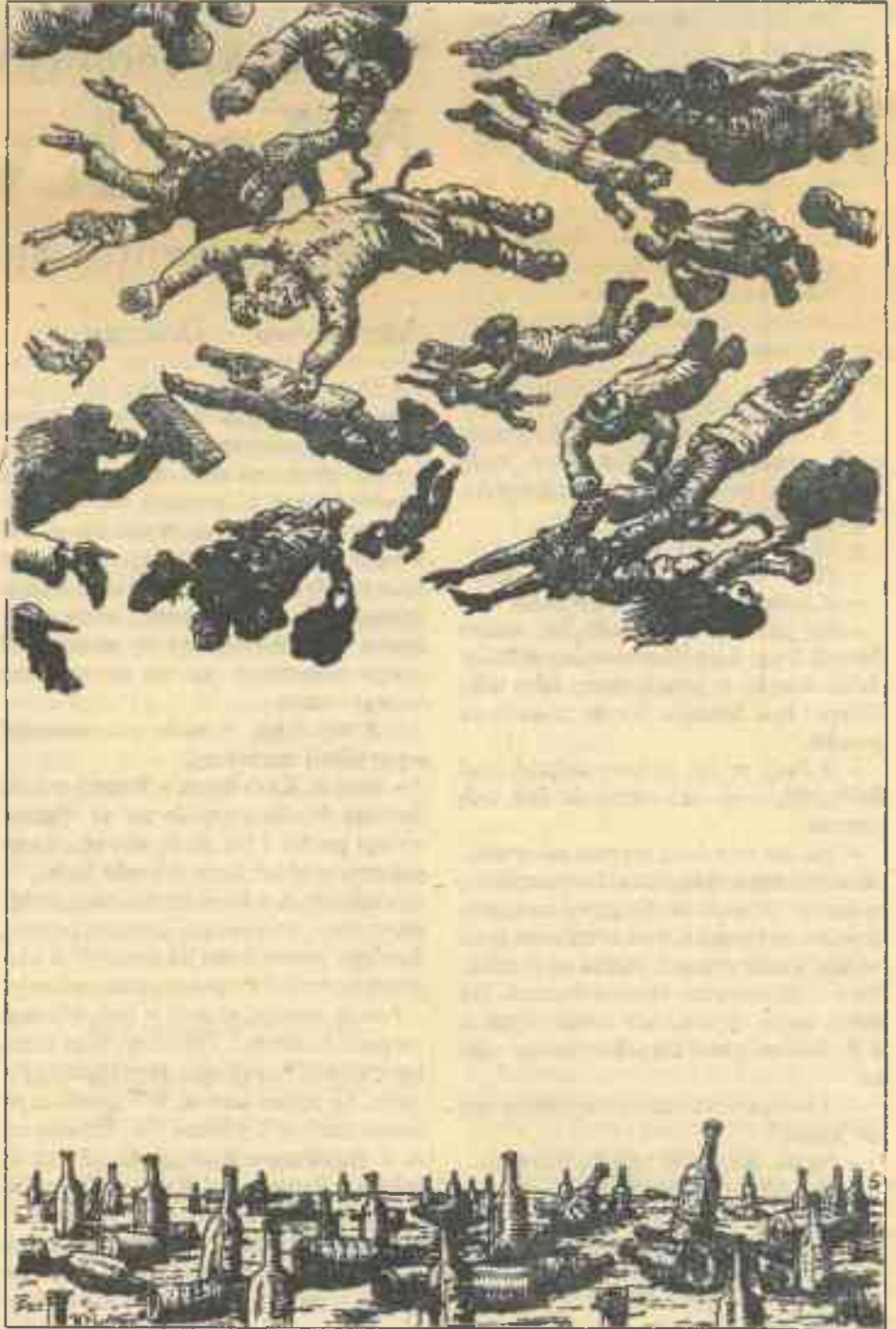
- Ale przecież czasy były jeszcze liberalne...

- Jeszcze jakie liberalne! Znów powtórzyłem po tym kutasie, nie wiem, czy jeszcze żyje, lepiej, żeby nie. Otóż ten dziekan wydziału filologicznego, który odsiedział... ile on tam odsiedział, nie pamiętam, w każdym razie nie mniej niż piętnaście lat, ścierwo. Obwieścił mi prosto w oczy: „Bardzo załużę, Jerofiejew, że to już nie dawne czasy. Ja bym was potraktował o wiele surowiej”. I wtedy zrozumiałem, z kim mam do czynienia - z jakim gównem śmierdzącym, i...

- Ale jednak czym, Wieniczka, tak ich przestraszyłeś?

- Nie mam pojęcia. Leżałem sobie spokojnie, piijałem. Ludzie do mnie... w końcu wyszło tak, że cały instytut podzielili się na dwie części... na popów i na... Było dużo wariatów, ale zasadniczo na popów i komsomolców. No i ja znalazłem się na czele popów, a ten naczelny wice-tryce, stojąc na czele komsomolców, był moim przeciwnikiem i nawet udawało się nam... „Proszę bliżej - mówił człowiek (nie pamiętam nazwiska) - proszę bliżej, tylko

dokończenie na s. 8



WIACZESLAW SYSOJEW

Wariatem można być w każdym wieku

dokończenie ze s. 7

bez rękoczynów". Za mną stoi linia i za nimi też. Siadamy, to ja proponuję zasiąść do stołu negocjacji, żeby uniknąć rękoczynów itd. Oni mówią: dobra, siadajmy. No i usiedliśmy i piliśmy najpierw sto gram, potem po pięćdziesiąt, potem po sto pięćdziesiąt, potem... i w końcu, no, byliśmy dobrzy...

- A co piliście, Wieniczka?
- Nie pamiętam. Jakąś berbeluchę. No, w każdym razie, wypracowaliśmy jakąś wspólną terminologię...

- Popi i komsomolcy?
- Popi z komsomolcami spokojnie sobie siedzieli... No, jednym słowem, byli zajęci tym co należy. A ja siedziałem i czułem się jak człowiek, który zapobiegł przelewowi krwi.

- Przynam, że trudno sobie wyobrazić ciebie w roli przywódcy wspólnoty religijnej. I dlatego wydaje mi się, że nazwę „popi” należy traktować dość umownie.

- Oczywiście, oczywiście. Albo na przykład taka charakterystyczna historia - w tym samym sześćdziesiątym drugim roku panienka, która należała do kategorii „popów” - siedzę w ogrodzie i zażywam świeżego powietrza - a ona do mnie podbiegła i powiedziała: „Oj-oj-oj, zaraz uciekam, bo jak mnie tu zobaczą, to koniec - nie ma mnie w instytucie”. Tak że to jest wszystko bardzo zaplątane.

- Pisałeś we Włodzimierzu, Wieniczka?
- Jeszcze jak. Wprost przeciwnie, kiedy dostałem się do instytutu, powiedziano mi: „Wieniedikcie Wasiljewiczu, jeśli nie będzie pan miał z czego żyć, mamy tu „Wiadomości Naukowe” Instytutu Włodzimierskiego i chętnie udostępniemy panu łamy”. Ale jak tylko wsunąłem im ochoczo na te łamy raptem dwa artykuły o Henryku Ibsenie, zaraz obwieścili, że metodologicznie do niczego się nie nadają.

- Co to znaczy - metodologicznie?
- Nawet nie pytałem. Miałbym jeszcze pytać, jebana mać! Powiedzieli: i to też do niczego się nie nadaje. Czyżby człowiek nie rozumiał, co plecie?

- A prozę pisałeś?
- Wtedy - nie. Pisałem wówczas wyłącznie o Skandynawach, ponieważ byłem wtedy olśniony tą moją literaturą skandynawską. I pisałem tylko o niej.

- Co cię w nich tak oczarowało?
- Ponieważ to moi ziomkowie.
- A konkretnie kto ze Skandynawów?
- No jak to - konkretnie? Ten właśnie Henryk Ibsen, Knut Hamsun w szczególności. Także muzykę w gruncie rzeczy lubię tylko Griega i Jana Sibeliusa. Nic się już na to nie poradzi.

- A kiedy po raz pierwszy zacząłeś pisać beletrystykę - po tych zeszytach? Była duża przerwa?

- Nie, nie było dużej przerwy, po prostu... zimą siedemdziesiątego roku, kiedy marziłem w baraku, przyszła mi do głowy myśl, żeby pojechać do Pietuszek, było to zakazane przez władzę, a mnie okropnie chciało się pojechać. No i... tak zacząłem *Moskwa-Pietuszki*. Tak mniej więcej w ostatnich dniach stycznia, a skończyłem gdzieś drugiego-trzeciego marca.

- A pomiędzy zeszytami i Pietuszkami było coś jeszcze?

- No tak, oczywiście, było. To było warto... choroba, odtworzyć i dopracować...

- A rękopis chociaż istnieje?
- Część rękopisu dostarczyli ludzie z miasta Guś-Chrusztalnyj.

- To też takie niewesołe...
- Bynajmniej. Mnie to się nie podoba, i słusznie powiedziała jedna taka bardzo literacka

dama, że to takie pod Pilniaka. Tylko że tak. Jak to może być - pod Pilniaka, którego po dziś dzień nie przeczytałem ani jednej linijki?

- Według mnie Jerofiejew nie może nikogo naśladować, tak jak i nikt nie może podrobić Jerofiejewa. A jak się ta rzecz nazywa?

- „Dobra nowina”.
- Jak to jest, Wieniczka, literackie damy czytają, a szerokie kręgi życzliwej społeczności - do tej pory - nie. Czy to w porządku?

- No, to by trzeba lepiej dopracować, bo tam jest dużo... jak by to... kto potrafi wyrażać się delikatniej...

- A w którym roku to pisałeś?
- W sześćdziesiątym trzecim.

- A między sześćdziesiątym trzecim i siedemdziesiątym było coś?

- Ach, tym razem absolutna obsuwa. Za bardzo żyłem: kino, baby i et cetera.

- No dobrze. Pietuszki już są napisane. W jaki sposób stały się znane? Skąd nagle pojawili się wokół ciebie ludzie?

- No powiedzmy, Sława Lon. Siedzę sobie, dajmy na to, we Włodzimierzu, w otoczeniu moich chłopaków i kobitek, i nagle melduje mi Wadia Tichonow: „Poznałem w Moskwie jednego takiego pasożyta, taką swolocz”. Ja na to: „Co za pasożyt, co za swolocz?” A on: „Ten pasożyt, ta swolocz powiedziała mi, znaczy Wadi Tichonowowi, że da... zapłaci 73 ruble

(dlaczego 73 - nie wiadomo) za znajomość z tobą”. Czyli ze mną. Jak Boga Kocham.

- Czyli Lon przeczytał Pietuszki.

- No tak. Ja się zdziwiłem, a Gubanow powiedział Lonowi: „No, jeżeli Wadia Tichonow, który go dobrze zna...” - i wtedy zaczął wciskać te swoje 73 ruble.

- Jeszcze się wtedy nie znałeś ze smogistami?
- Absolutnie!

- Dlaczego w próżni?
- No, jeśli wziąć to moskiewskie środowisko kulturalne, niczego o nim nie wiedziałeś?

- Nie miałem pojęcia. I wtedy Władysław Lon zaproponował 73 ruble za samą tylko znajomość.

- I dzięki niemu stałeś się znany na świecie?

- Nie dzięki niemu. Dzięki zupełnie innym ludziom, którzy teraz wyjechali. Ci ludzie, którym jestem zobowiązany, mieszkają teraz w Tel Awiwie... i tak dalej.

- Lon utrzymuje, że to on przekazał Pietuszki na Zachód i dzięki niemu zostały opublikowane.

- Łże jak zawsze.

- Skoro są za granicą i nie im nie grozi, to nie szkodzi o nich napomknąć.

- Czemu nie, rzeczywiście. Po pierwsze, to Witalij Stesin, potem Michaił... poeta, który w pełnej gali odwiedzał mnie w szpitalu... Michaił...

Wieniedikt Jerofiejew

Moskwa-Pietuszki

w tłumaczeniu Andrzeja Drawicza

Nazariem - Driezna

- Dużo pan widział, wiele podróżował. Niechno pan powie: gdzie bardziej cenią Rosjan - po tej czy po tamtej stronie Pirenejów?

- Po tamtej - nie wiem. A po tej nie cenią zupełnie. Byłem na przykład we Włoszech. Tam na Rosjan nikt nie zwraca uwagi. Oni w ogóle tylko śpią i malują. Na przykład jeden stoi i śpiewa. A drugi siedzi obok i maluje śpiewającego. A znów trzeci, trochę dalej, śpiewa o malującym... Aż się smutno robi z tego wszystkiego. Ale oni nie rozumieją naszego smutku...

- A czy Włosi w ogóle coś rozumieją? - przytaknął czarnowasy.

- Otóż to. Kiedy byłem w Wenecji w dzień Świętego Marka zachciało mi się obejrzeć wyścigi gondoli. I tak mi się smutno od tego patrzenia zrobiło! Serce spływało łzami, ale usta milczały. A ci Włosi nie rozumieją, śmieją się, wytykają mnie palcami „patrzcie, patrzcie, Jerofiejew znów chodzi jak jebnięty!” A jakiz ja byłem jebnięty? Po prostu me usta milczały.

Prawdę mówiąc, niczego w tych Włoszech nie potrzebowałem... Tylko trzy rzeczy chciałem obejrzeć: Wezuwiusza, Herkulanum i Pompeję. Ale powiedziano mi, że Wezuwiusza już dawno nie ma i posłano do Herkulanum. A w Herkulanum powiedziano: „Po co ci, bałwanie, Herkulanum? Wal lepiej do Pompei!”. Przychodzę do Pompei, a tam mi mówią: co ci zależy na Pompei? Leć do Herkulanum!...

Machnąłem ręką i skierowałem się ku Francji. Idę sobie i idę, zbliżam się już do Linii Maginota - i raptem myślę: lepiej wrócić i pomieszkać trochę u Luigiego Longo. Zamó-

wię u niego łóżko, książki poczytam, żeby się nie włóczyć nadaremno. Lepiej byłoby, rzecz jasna, wynająć łóżko u Palmiro Togliattiego, ale on przecież niedawno umarł... A w końcu czym Longo gorszy?...

Mimo wszystko jednak nie zawróciłem. Skierowałem się natomiast przez Tyrol w stronę Sorbony. Przychodzę do Sorbony i mówię, że chcę się wykształcić na magistra. Na co mnie spytano: „Jeśli chcesz się wykształcić na magistra, to musi cię coś cechować jako zjawisko. A co cię cechuje jako zjawisko?” Co im mogłem odpowiedzieć? Powiedziałem: „Co mnie może cechować jako zjawisko? Toć ja sierota jestem”. „Z Syberii?” - pytają. „Z Syberii” - powiadam. „A skoro z Syberii, to przynajmniej swoją psychikę powinno coś cechować. A co cechuje twoją psychikę?” Myślę sobie: to jednak nie Chrapunowo, tylko Sorbona; trzeba powiedzieć coś mądrego. Pomyślałem i powiadam: „Jako zjawisko cechuje mnie samorośnący Logos”. A kiedy tak myślałem, o mądrych rzeczach, rektor Sorbony po cichu podkradł się do mnie z tyłu i jak nie rąbnie mnie w kark: „Bałwan jesteś - powiada” - a nie żaden Logos! - Wyrzucić - woła - wyrzucić won Jerofiejewa z naszej Sorbony!” Wtedy po raz pierwszy pożałowałem, że nie zatrzymałem się u towarzysza Luigiego Longo...

Coż mi pozostało, jak nie pójść do Paryża? Przychodzę. Idę w stronę Notre-Dame. Idę i dziwię się: wokół same burdele. Stoi tylko wieża Eiffla, a na niej generał de Gaulle je kasztany i spogląda przez lornetkę na wszystkie cztery strony świata. A co za sens patrzeć, jeśli w każdej stronie są tylko burdele!...

Co się tyczy bulwarów, to w ogóle nie można

- Wienia, dlaczego na twoim afiszu (wieczoru w Domu Kultury MGU) jest napisane: 20 lat pracy twórczej. Przecież dużo więcej.

- Olewam to! Niech piszą, co chcą. Niech napiszą: „Dziesięciolecie hrabiego Tołstoja”... Poeta... wspaniała kobieta... znów zapomniałem nazwiska... trzeba by zapytać dziewczuchy. Michaił Gendelew i Maja Kagańska.

- I po raz pierwszy było opublikowane w izraelskim abnanachu...

- „Ami”.

- Wiedziałeś, że szykuje się publikacja?

- Kiedyś Murawiov mi powiedział, w siedemdziesiątym czwartym: „A wiesz, Jerofiejew, wydali cię w Izraelu”. Uznałem, że to jego kolejny dowcipas i nic nie odpowiedziałem. A potem rzeczywiście się dowiedziałem, jeszcze po kilku miesiącach, że faktycznie wydali w Izraelu, Żydziska, taka ich mać!

- W siedemdziesiątym drugim?

- W siedemdziesiątym trzecim.

- A jak wyglądały stosunki materialne z wydawcami za granicą - przecież wydawano cię potem jeszcze w wielu krajach?

- To rzeczywiście bardzo bolesny problem. Na przykład Anglia i Stany Zjednoczone... Dwa wydawnictwa w Stanach Zjednoczonych nie płacą ani kopiejki z tej przyczyny, że kupiły - Stany Zjednoczone - kupiły od Anglii... A Anglia kupiła od Paryża... Czyli nikt nikomu nic nie jest winien, tylko ja wszystkim po trochu. Ale nikt nie jest winien, to fakt. Zrozumiałem to z ich zachowania.

- Wspaniale! Ale jest taka instytucja - nazywa się WAAP.

- Jest, ale ona się tym nie zajmuje. Działa tylko w krajach Układu Warszawskiego, a na kraje NATO nie ma nawet najmniejszego wpływu.

- Jerofiejew, poczekaj. Ta organizacja zdzierze ze swoich klientów straszliwe procenty i mogłaby wynająć najlepszych adwokatów. Czy ktoś z nich zwracał się do ciebie: „Jerofiejew, będzie-

Piotr J. Czaadajew

Biczować, upokarzać, byle nie okłamywać

Aforyzmy polityczne

Powiadają o Rosji, że nie należy ani do Europy, ani do Azji, że jest światem osobnym. Niech i tak będzie. Lecz wypada jeszcze dowiedzieć, iż ludzkość, oprócz dwu swoich stron, określanych jako „Zachód” i „Wschód”, posiada jeszcze trzecią.

Jak myślicie: czy może trzydziestoletni ucisk bezwzględny i uporczywy w swych mniemaniach i postępkach rządu skazić umysł narodu, nieczęsto się nim posługującego?

Do czego służy myśl we Francji? Do tego, by ją wypowiedzieć. W Anglii? By ją urzeczywistnić. W Niemczech? By ją rozważyć. U nas? Do niczego! – A wiecie, czemu?

Im dłużej nad tym myśleć, tym pewniejsze, że coś się u nas obecnie dzieje niezwykłego. To coś, dalekie jeszcze od stadium jasnej idei, bo nie mające nawet uchwytnej wyrazu, kryje mimo to w sobie ważką kwestię społeczną. Rzecz to niebiała: rozstrzygnąć wypada, czy naród, raz rozpoznawszy, iż na przestrzeni wieku szedł błędną drogą, może zawrócić pewnego pięknego dnia prostym aktem świadomej woli z przebytej trasy, zerwać z biegiem swego rozwoju i rozpocząć go od nowa – związać zerwaną nić swego żywota w tymże miejscu, w którym ją niegdyś z niejasnych przyczyn potargał? Wypada zatem uświadomić sobie, iż jesteśmy w przededniu jeśli nie rozstrzygnięcia, to bądź co bądź próby rozstrzygnięcia tego niebywałego zadania – w przededniu takiego eksperymentu społecznego, o jakim nie ważyli się śnić najśmielsi utopiści w najzuchwalszych swoich fantazjach. Rzecz najambitniejszą byłoby, oczywiście, określić możliwy termin owego zdarzenia, ale ponieważ życie uczuciowe narodu względnie tylko bywa podporządkowane prawom dynamiki światowej, jak również dlatego, że ruch społeczny realizuje się zazwyczaj nie w zależności od potęgi sił działających, lecz od stopnia bezsilności organizmu państwowego, oczekiwać można jedynie, iż niedaleki jest czas burzliwego objawienia się uczuć narodu, zwłaszcza wśród jego warstw wykształconych. Sądzićie, być może, iż zagraża nam rewolucja w stylu zachodnioeuropejskim? Uspokójcie się: chwała Bogu, nie na to się zanosi. Punkty wyjścia świata zachodniego i nasze były nazbyt odmienne, byśmy kiedykolwiek mogli dojść do analogicznych rezultatów. Istnieje przy tym w narodzie rosyjskim coś nieodmiennie stałego, rozpaczliwie wręcz stabilnego – mianowicie właściwa mu całkowita obojętność co do natury rządzącej nim władzy. Żaden z narodów świata nie pojął lepiej od nas sławnego tekstu Pisma: „Nie masz władzy, jak tylko od Boga”. Władza ustanowiona jest zawsze dla nas święta. Jak wiadomo, fundament naszej budowli społecznej stanowi rodzina, a zatem lud rosyjski nie jest nigdy zdolny dostrzec we władzy niczego innego, jak stosowany mniej lub bardziej surowo autorytet rodzicielski – i tyle. Każdy władca, jakim by on nie był, to dlań batiuszka – ojczulek. Nie mawiamy, na przykład: „mam prawo zrobić to i to”; mawiamy: „to dozwolone, a tamto niedozwolone”. W wyobrażeniu naszym nie prawo karze obywatela, który zawinił, lecz ojciec wymierza karę nieposłusznemu dziecku. Przywiązanie nasze do układu rodzinnego jest takie, iż z radością rozszerzamy prawa ojcowskie na każdego, od kogo zależy. Idea legalności, idea prawa są dla narodu rosyjskiego bezsensowne, o czym świadczą osobliwe i bezładne zmiany na tronie następców Piotra Wielkiego, a zwłaszcza ponury epizod bezkrólewia. Rzecz jasna, gdyby natura ludu zdolna była pojąć owe idee, zrozumiałby on, że władca,

za którego przelewa właśnie krew, nie ma najmniejszych praw do tronu, przez co ani pierwszy samozwaniec, ani wszyscy pozostali nie znaleźliby tej masy stronników, czyniących spustoszenia przerażające nawet dla ciągnących za nimi band cudzoziemskich. Żadna siła na świecie nie zmusi nas do opuszczenia tego kręgu idei, na jakim ufundowana jest cała nasza historia, a który i teraz jeszcze nadaje jedyną poezję naszej egzystencji, i który uznaje wyłącznie prawo darowane, odrzuca zaś wszelką myśl o prawie naturalnym. Cokolwiek więc by się działo w głębi społeczeństwa, lud nigdy nie będzie w tym uczestniczył: skrzyżowawszy dłonie na piersiach w ulubionej pozie prawdziwego Rosjanina, przyglądać się będzie wypadkom i zgodnie ze swym nawyknięciem powita imieniem batiuszki nowych swych władców, albowiem – nie okłamujemy się – ponownie konieczni mu będą władcy, a wszelki inny porządek odepchnie on z pogardą lub gniewem.

Jak myślicie: czy kraj, który w tejsze minucie, w której wezwany został do wzięcia w swe dłonie należnej mu prawnie przyszłości, tak dalece zmylił właściwą drogę, że wypuścił tę przyszłość ze swych niezdarnych rąk – na ową przyszłość zasługuje?

Śród przyczyn, hamujących nasz rozwój umysłowy i kładących na nim swoiste piętno, wypada dostrzec dwie: po pierwsze, brak owych centrów, tych ognisk

istnienia; on też wpoił nam ślepią pokorę: wobec siły faktów, wobec wszelkiej władzy, ogłaszającej swe nad nami panowanie. W środowisku takim brak miejsca dla prawidłowego, codziennego obcowania ze sobą umysłów; w całkowitym odosobnieniu poszczególnych świadomości brak miejsca dla logicznego rozwoju myśli, dla bezpośredniego wlotu dusz ku możliwemu doskonaleniu; brak miejsca dla wzajemnej sympatii, kojarzącej ludzi w potężne grupy, przed którymi nieuchronnie ukorzyć się musi wszelka materialna siła. Słowem, jesteśmy zaledwie osobliwą kartą geografii fizycznej. Im większe więc w świecie nasze znaczenie materialne, tym mniej rzecz można o sile moralnej. Będąc najważniejszym z czynników politycznych, jesteśmy ostatnim z czynników życia duchowego. Jednakże owa fizjologia kraju, tak bez wątpienia niedogodna obecnie, w przyszłości stanowić może przewagę, i tracąc z oczu jedno, ryzykujemy utratę drugiego.

Sądzą, że mają do czynienia z Francją, z Anglią. Bzdura: zetknęliśmy się z cywilizacją jako całością, a nie tylko z jej rezultatami; z nią samą jako orężem i jako przekonaniem, z cywilizacją stosowaną, rozwijaną i realizowaną tysiącletnim wysiłkiem i pracą. Oto, z czym przyszło nam się zetknąć – nam, którzy żyjemy zaledwie od wczoraj, nam, których żaden organ, a zwłaszcza pamięć, nie był ćwiczony ani rozwijany dostatecznie.

Jak sądzicie: czy byłoby z korzyścią dla Europy i dla samej Rosji, gdyby ta ostatnia stała się panią losów świata?

W Rosji wszystko nosi znamiona niewolnictwa: moralność, ambicje, wychowanie, a nawet wolność sama – o ile ta ostatnia egzystować może w podobnym środowisku.

Biada narodowi, skoro niezdolna była go poniżyć niewola: naród taki stworzony jest na niewolnika.

Z jednej strony chaotyczny bieg społeczeństw zachodnioeuropejskich ku ich niewiadomemu przeznaczeniu w chwili, gdy grunt Zachodu drży, gotów runąć pod stopą geniusza nowoczesności; z drugiej – majestatyczny bezruch naszej ojczyzny i doskonały spokój jej narodów, jasnym i niewzruszonym spojrzeniem ogarniających wściekłą zawieruchę, jaka szturmuje jej progi: oto podziwu godne widowisko, na jakie złożyły się w naszej epoce dwie połowy rodu ludzkiego, widowisko począające, którym nasycić się niesposób... i tu z dziesięć stron w tymże duchu.

Biczować swą ojczyznę, zasmucać ją, upokarzać – byleby tylko jej nie okłamywać.

Hrabia de Maistre mawiał: „Przesada to prawda ludzi honoru”, czyli ludzi z przekonaniem, ponieważ człowiek honoru nie może być ich wyzbyty.

Trzy sposoby, ażeby być szczęśliwym: myśleć tylko o Bogu, tylko o bliźnim, tylko o jednej idei.

Trzy rzeczy niezwykłe: geniusz, męstwo, urodzenie.

Słowo brzmi tylko w otoczeniu akustycznym.

W konkluzji stosownie będzie zauważyć, że wszystko, co wyżej powiedziano, wypowiedane było i powtarzane po tysiąckroć przez wszystkie poważne umysły naszego wieku, lecz, oczywiście, my nic o tym nie wiemy; obca jest nam chronologia Europy, jesteśmy obecni przy życiu naszego stulecia, lecz nie uczestniczymy w nim. Nie oszukujemy się: nasza rola w świecie, jak by nie była znacząca, jak by nie była znana – to rola li tylko polityczna; do ruchu idei w prawdziwym znaczeniu daleko nam jeszcze. Prócz tego, ileż ze źródeł myśli naukowej, które tchnienie Zachodu zaniósł przypadkiem na nasze odległe wybrzeża, zbląkało się w swej drodze, ileż zastygło pod lodowatym oddechem Północy. Tak czy owak, przyznać trzeba, że niewesoły jest widok naszych wybitnych umysłów, miotających się między ambicją przyspieszenia postępu ludzkości – zbyt powolnego, jak zdaje się zwykle duchom wybranym – a nędzą kartowatej cywilizacji, nietkniętej poważną myślą; umysłów, wtrąconych przez to we władzę najróżniejszych zbroceń wyobraźni, szlachetnych mrzonek lub czasem – przyznać wypada – nader głębokich błędzeń.

ok.1855

przełożył: Jan Gondowicz



Moscovia wg De L'Isle'a (ok. 1715 r.)

koncentrujących żywotne siły kraju, gdzie dojrzewają idee i skąd na cały obszar promieniują twórcze zasady; po wtóre – brak owych hasel, wokół których mogłyby się skupiać solidarne i rozsiewające sugestie grupy umysłów. Zjawia się czasem nie wiadomo skąd, przywiana jakimś przypadkowym podmuchem idea, i, o ile przebijie się przez rozmaite zapory, poczyna niezauważalnie przenikać w umysły, by nagle pewnego pięknego dnia zniknąć bądź utknąć w jakimś ciemnym kącie świadomości narodowej i więcej już nie wychynąć na powierzchnię – takie to u nas krążenie idei. Każdy z narodów niesie w sobie swą własną zasadę, odciskającą się na jego życiu społecznym, kierującą nim na drodze wieków i określającą jego miejsce pośród ludzkości; taką zasadą formującą nas jest czynnik geograficzny. Oto, czego nikt nie chce pojąć: cała nasza historia – to produkt natury tego niezmiernego kraju, jaki przypadł nam w udziale. On to rozsiał nas na wszystkie strony i rozrzucił w przestrzeni począwszy od pierwszych dni naszego

Informel z miejsca ekskomunikowany przez awangardę o surrealistycznym rodowodzie, odpowiadał naturze Kantora. Tadeusz nie lubił stojącego powietrza, a tu rozpoczynała się heca. Ten żywił musiał go porwać. Ale równocześnie *informel* był pierwszym towarem rzuconym masowo na rynek przez skomercjalizowaną awangardę, sprytnie zresztą wybrany. Łatwo go było wyprodukować – szybko, śmiało i bez przytomności, trudno się było na nim poznać, tym lepiej, do tego byli przygotowani eksperci, no i kogo by nie zmiotła taka nawalnica? Konkurencja była porażona z miejsca. Ale rynek ma swoje prawa. Rzucono taką masę towaru, że w porę trzeba go było wycofać i czymś zastąpić. Jeszcze było trochę czasu, aby z niego wydusić tyle ile się da, aby zmieniać witryny. Po dzikim taszyzmie przyszły jego łagodniejsze formy: abstrakcja liryczna, malarstwo materii, też nieforemne ale spokojniejsze, a stratedzy przygotowywali już kontr-ofensywę geometrii, nie musieli się zresztą wysilać, bo łatwo ją było przewidzieć. No i po prostu określonej formy. Tylko, że trzeba ją było (i tę geometrię i tę formę) jakoś odnowić, bo wszystko się działo pod szyldem awangardy. A więc z konstrukttywizmu wypręparowano op-art (wszelka metafizyka won!) a z figuracji pop-art (też bez niepotrzebnych psychologicznych głębi) – duszą się nie handluje. Teraz Kantorowi było nie po drodze. Ale Kantor miał zakodowany w swojej świadomości szacunek do nowości, choćby mu były nie na rękę, choćby się do ich praktyki nie nadawał. Nie tylko zresztą do nowości, również do wszelkich form i poczynań awangardy. I tak np. konstrukttywizmu, abstrakcji geometrycznej pokochać by nie potrafił, ale zawsze okazywał im szacunek. No, chyba że mu jakaś ostra, geometryczna forma nadepełna na odcisk – wtedy się obruszył, ale na chwilę. Do obalenia tych „konstrukcji” nigdy dotąd się poważnie nie zabierał. Był płomiennym wyznawcą pewnych tendencji, ale nie był dogmatykiem.

Niemniej musiał się jakoś w tej sytuacji znaleźć. Intuicja podpowiedziała mu, że najrozsądniej poczekać – zejść z tej „autostrady” (tę metaforę pożyczyłem od Kantora z jego ostatnich wypowiedzi) na pobocze. Ale coś tam trzeba robić. *Informel* bronił się jeszcze, zaczęto robić ambalaze. Kantor też zaczął robić ambalaze, ale trzeba było robić coś jeszcze. Przypomniał sobie swój konspiracyjny teatr i zabrał się do pracy na scenie. Czy już wtedy nazwał „swój teatr” „Cricot 2”, – nie pamiętam. Bodajże w 1963 roku zaprosił nas do Krakowa na prapremierę *Wariata i zakomicy*. Pojechaliśmy (Teresa i ja) na tę premierę z Kosińskim (Marytką i Leszkiem) ich volswagenem (aut wtedy było niewiele). Zajeżdżamy do Kantorów na Elbląską 6 jakieś dwie godziny przed premierą. Kantor podniecony, Marysia też, my też, każdy w inny sposób. Premiera ma się odbyć w Krzysztoforach (gdzie trwa właśnie wystawa „Grupy Krakowskiej”). Scena to dość niewielka przestrzeń w głębi piwnicy. Zaproszona publiczność ma siedzieć przy stolikach kawiarnianych. Nie ma żadnych ławek, ani miejsc stojących. Teresa i Marytka muszą, oczywiście, uczynić się pięknymi, ale Kantor z Marysią (Stangret), Leszek i ja wychodzimy już do Krzysztoforów. Kantor pokazuje naszym paniom łazienkę. „Tylko nie zatrzaskujcie drzwi, bo ich od wewnątrz nie można otworzyć!” Wchodzimy do Krzysztoforów. Obrzucam wzrokiem piwnicę. Wpada mi w oczy słynna „Maszyna aneantyzacyjna” (jedyna dekoracja), wysoka osobliwa forma z poukładanych równo jedno na drugim składanych (złożonych) zwykłych drewnianych krzesel. Już w stanie spoczynku – ciekawe robi wrażenie. Widzę moje obrazy – dobrze powieszzone. – Dobrze! – rzucą mi Kantor. Wskazuje gościom miejsca przy stolikach. Mnie i Leszka Kosińskiego sadza z chytrym uśmiechem przy środkowym stoliku w pierwszym rzędzie, tuż przed „sceną”, przy którym siedzi już Drobner. Miejsce honorowe, ale co tu robić z tym Drob-

nerem. Przedstawiamy się, zaczyna się rozmowa. Nie klei się. „Ten Kantor to ciekawy człowiek, tylko że ja już nic nie rozumiem, tego co on robi, ja znałem jeszcze Marię Konopnicką”. Usiłuję Drobnerowi wytłumaczyć, co ten Kantor robi. Leszek jak może tak mi pomaga, ale to ciężka robota. Widzę przy sąsiednim stoliku Sandauera. Wzywam go jakimś gestem. Podchodzi, stojąc wyciąga do Drobnera wyprostowaną rękę i głośno, „dużymi literami”, wymawia swoje nazwisko: „Sandauer jestem”. Drobner powinien wiedzieć z kim ma do czynie-

Jerzy Tchorzewski

Kantor i inni (3)

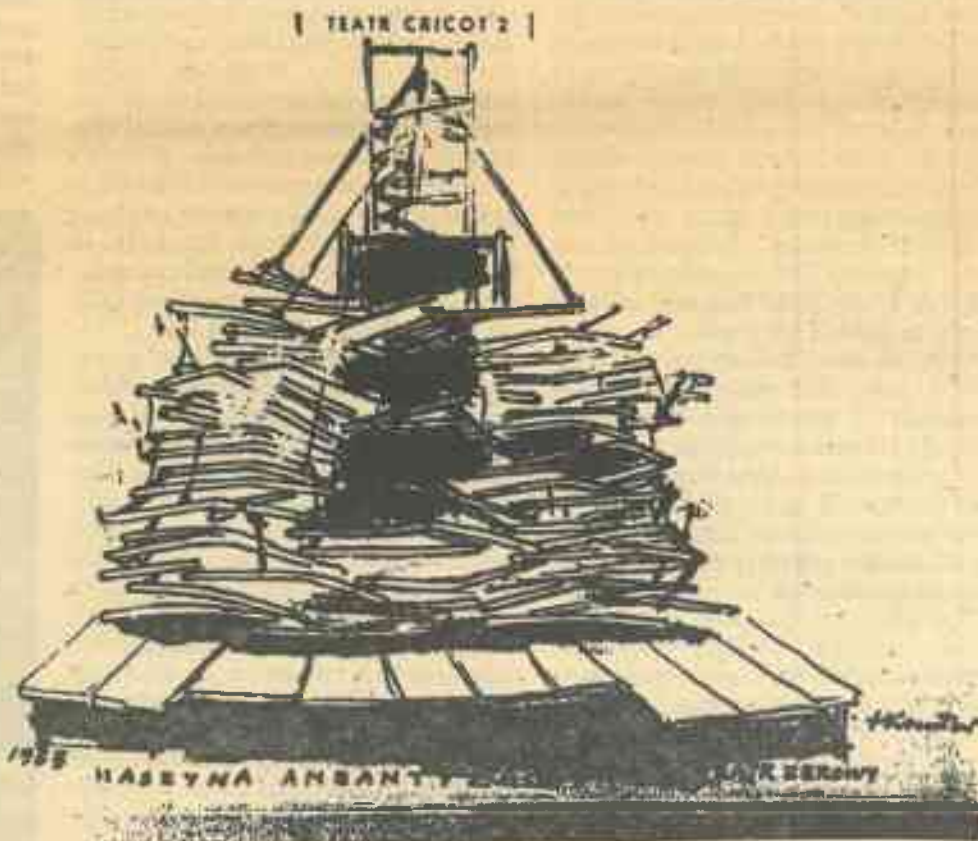
nia! Następuje wymiana kilku zdań, którą kończy Sandauer głośnym ha, ha, ha! i odchodzi. Drobner odprowadza go zmęczonym wzrokiem „Tak, ja go znam, to Sztaludynger”. Dziewiętnasta piątnaście, a premiera miała się zacząć o dziewiętnastej trzydzieści. – Co z Teresą i z tą drugą panią? – pyta Kantor. Zaczynamy się denerwować. Dziewiętnasta dwadzieścia, dwadzieścia pięć, koło w pół do ósmej wbiegają nasze panie. Teresa zdenerwowana, speszona, Marytka zaśmiewa się (wyraźnie ale dyskretnie). Zatrzasnęły się w łazience. Jedną drugą podsadzała, żeby wyjść z niej przez małe, wysoko umieszczone okienko. No i jakoś wyszły, jak to zrobiły, Bóg raczy wiedzieć, obie nie były sportsmenkami. Rozpoczyna się przedstawienie, Kantor uruchamia „maszynę aneantyzacyjną”. Trzęsie się podryguje jak jakiś niesamowity

organizm w konwulsjach. Trzask też nie z tej ziemi. Robi to na mnie ogromne wrażenie. Następnie pojawia się olbrzymi *embalage*, ogromny okrągły worek z otworami na głowę, w nim słóceniu aktorzy (kilkanaście osób) miotają się, boksują ten *embalage*, nadając mu nieustannie zmieniającą się formę, wykrzykują mieszającą się ze sobą słowa i dźwięki to również ma niesamowite działanie. Taki ambalaz – to rozumiem, coś w tym jest, Bagatela, ile w nim było „ludziej” treści! Kantor był coraz bliżej siebie. Czy zdawał sobie z tego sprawę, chyba nie w pełni, ale musiał już coś przeczuwać, my też. Równocześnie malował w stylu *informel*, robił ambalaze i wystawiał następnie sztuki Witkiewicza w swoim „Cricot 2” np. *Kurkę wodną*. Czy to były zresztą sztuki Witkiewicza? To były raczej spektakle Kantora zainspirowane Witkiewiczem. Ale stale jeszcze

chciał wszelkie swoje artystyczne poczynania pogodzić „rygorystycznie” z przykazaniami pewnych „awangardowych” tendencji. Prawde mówiąc bardziej były one zgodne z autokomentarzem w postaci odczytów i manifestów, które wygłaszał dość często, przeważnie w galerii „Foksal”, niż z rzeczywistością Kantorowskiej sztuki, ale ten obowiązek zgodności praktyki z programem jeszcze wypełniał, choć coraz wyraźniej go krępował i coraz bardziej był pozorny. A my (Brzozowski, Nowosielski, Mikułski, ja) malowaliśmy słuchając się wyłącznie siebie i coraz mniej okazując zainteresowania tym „co słycać?” Kantor akceptował nasze malarstwo, nie wiem czy mu to łatwo przychodziło, ale akceptował.

W przypadku mojego malarstwa jego reakcje były żywe, spontaniczne – interesowało go ono na pewno, znałem go dobrze. A co tam mówił za moimi plecami, nie wiem. W 1965 roku on sam urządzał moją wystawę w Krzysztoforach, starał się jak najlepiej to zrobić, i rzeczywiście świetnie ją wyreżyserował. I dużo rozmawialiśmy o sztuce. W tych prywatnych rozmowach Kantor był inny niż w swoich wystąpieniach publicznych, o wiele mniej apodyktyczny, bardziej szczerzy, szerszy i głębszy. Właściwie między nami nigdy nie dochodziło do

się sferę podziału na dwa tereny: teren Sztuki (Izolacyjny Obóz przeważnie Akademicki) + Rzeczywistość. Mnie osobiście bardziej odpowiada pozycja artysty – żywej torpedy zafascynowanego jedyną ideą i ob-razem zlania się w całość z celem swego ataku i napadu. Wtedy przylatuję dość szybko nad sferę badań nad stosunkami między sztuką a życiem. W tej metaforze nie mogę sobie odmówić jeszcze jednego obrazu mam dużo ciepłego stosunku do Mi-cia (tak jak dużo szacunku dla jego dużej wiedzy) za to, że z ponad obiektu swych badań skierowywał swój wzrok – ot tak bezinteresownie na mnie – jak przelatuję...” Jednak zmiany na terenie sztuki zachodziły szybko i po jakimś czasie zagrożenie wynikające z megalomanii sztuki i nauki, które tak poważnie zaniepokoiło Kantora i przyczyniło się do polaryzacji postaw w naszym plastycznym grajdolku, zaczęło słabnąć. Skończył się op-art równie nagle jak się pojawił i wszelkie racjonalizmy znalazły się ponownie w defensywie. Jeszcze objawił się minimal-art, zbyt oszczędny jak na Kantorowski temperament, a potem neo-dada-izm – tu już Kantor mógłby się jakoś odnaleźć, ale na malarstwo nowej recepty jakoś niełatwo było znaleźć. No coż, malarstwo wyszalało się w *informelu*, potem wpadło w sztywne mechaniczne objęcia nauki, no i mogło wyzionąć ducha; zaczęto o tym przebąkiwać. Kantor rzeczywiście przywiózł z Paryża nekrolog malarstwa. Najpierw napomykał o jego kresie... że malarstwo to już nie... koniec!, potem to chyba głośno oznajmił (bodajże w galerii „Foksal”), czyli urzędowo stwierdził jego zgon, ale nie był z tego powodu przygnębiony. Koniec malarstwa to nie znaczy koniec sztuki. Teraz happening. Referował mi, co to jest happening. Słuchałem z uwagą, pewnym lękiem i nie ukrywaną nieufnością. „Słuchaj zrobimy pierwszy happening w Polsce, w Towarzyst-



TADEUSZ KANTOR „Maszyna aneantyzacyjna”

dzam tylko z niej żartuję. Ta sytuacja długo trwać nie mogła i Kantor zaczął się złościć. Początkowo mitygowała go sytuacja ogólna światowej sztuki, ale równocześnie ta sytuacja podsycała jego irytację. W długim (10 stronicowym) liście do mnie z 23.09.1966 r. pisze Kantor: „Teoria informacji Mi-cia [Porębskiego – dopisek mój], która od początku mnie bardzo zafrapowała (pisałem do Mi-cia jeszcze z Hamburga) przyznam się, że wobec innych spraw trochę dla mnie przybladła ostatnio, zesłała z terenu sztuki w sferę dość alarmujących zjawisk wywołanych ze śpięć i relacji między sztuką a tą resztą (= ludzie + życie + konsumpcja + rzeczywistość + cywilizacja itd). Tylko: ta sfera istnieje tylko wtedy, jeśli przyjmie

wie Przyjaciół Sztuk Pięknych na Rutkowskiego, to już załatwione”. Mieszkaliśmy już na Świerczewskiego, wszystkie przygotowania do tej awangardowej prapremiery odbywały się w naszym domu. Ogólne założenia tej nowej awangardowej przygody opowiadałem do tego stopnia, że mi się trochę podejrzane wydawały dalsze poczynania Kantora, bo niby wszystko ma się dzieć spontanicznie, bez scenariusza i reżyserii, a on mi właściwie, ten scenariusz (gotowy) opowiada. Niby nic nie wiadomo co z tego wyniknie, ale dokładnie wiadomo, z czego nie, wiadomo co wyniknie. „Słuchaj niech Teresa kupi 50 paczek spaghetti i ugotuje to spaghetti. Publiczność będzie siedziała przy stolikach w eleganckich strojach, wiesz za-

prosimy samą śmietankę, a ja będę tym spaghetti obrzucał. Może być skandal, mogą się obrazić – oczy mu się śmiały z tych przewidywań. Aha, Wiesiu, kupisz masę rolek papieru toaletowego, ja będę owijał Marysię. (Stangret swoją żonę) tym papierem, obrzucając jednocześnie eleganckich gości. I potrzebna mi jest jakaś ładna dziewczyna, trzeba ją rozebrać, ktoś ją będzie obsypywał węglem, o... może stary Lenica – to będzie dobre. Anka (Ptaszkowska) będzie siedziała przy stoliku z wami (Teresą i ze mną) i co parę minut będzie mówiła «Ja siedzę». Wpatrywał się we mnie, badał czy nie wyrażę ochoty czynnego udziału w tym happeningu, ale oczywiście wyczuł, że ja się do tego nie kwapię, udawałem zainteresowanie, ale w duchu byłem trochę przerażony, bo podobnie jak pan Zagłoba „nie lubię tłoku”, a tu na dodatek wynika ze słów Kantora, że wszystko dzieje się w mojej chałupie, Teresa też była bardzo przejęta. W jakichś ogromnych garnkach (skąd je ona wzięła?) gotowało się spaghetti, a następnie odcedzone, parowało i suszyło się na naszym balkonie. Ja wydzwaniałem do Akademii, bo Kantor potrzebował kilku młodych ludzi. Jurek Jarnuszkiewicz obiecał mi przysłać swojego syna, Marcina i kilku jego kolegów. Wzywamy telefonicznie taksówki – ładuje się do nich spaghetti i papier toaletowy, no i Kantor jedzie wcześniej na Rutkowskiego. „Musicie przyjść wcześniej, żeby wam stolika nie zajęli, choć położę na nim kartki z nazwiskami, Na pewno będzie tłok. A ty, Teresa – rzuca Kantor będąc już za drzwiami – zakończysz happening. Jak dam ci znak, wstaniesz i krzykniesz: «Dość już tego!» ale musisz krzyknąć z całej siły”. Teresa zbladła, nie mogła nawet zaprotestować, bo Kantor był już w windzie. Wkrótce potem i my wsiadamy do taksówki. W niewielkiej salce na Rutkowskiego straszliwy tłok. Przy stolikach siedzi wytworne towarzystwo, w przejściu między nimi zbita szpaler młodzieży. Widzę w nim Krzysztofa, naszego syna. W rogu sali rozebrana, ładna dziewczyna. Rozpoczyna się happening. Lecą frędzle spaghetti na wytworne suknie i garnitury, ale publiczność jest kulturalna, zna się na sztuce i cierpliwie poddaje się tej operacji. Kantor owija Marysię papierem toaletowym poczynając od stóp w górę. Robi to dokładnie, spokojnie, ona również stoi nieruchomo (na jakimś podwyższeniu) jak rzeźba egipska. Stary Lenica jakąś szuflą obsypuje rozebraną dziewczynę mianem węglowym, też spokojnie, co mnie najwięcej dziwi, bo ja bym to chyba bardziej nerwowo robił, no, ale on jest starszy. Anka Ptaszkowska co parę minut powtarza „Ja siedzę”. Ale to wszystko jakoś mi się nie klei. Strach mi już przeszedł i nawet zacząłem się nudzić. W pewnym momencie Kantor daje znak Teresie. Moja żona wstaje i krzyczy, takim głosem jakiego nigdy przedtem i nigdy potem nie słyszałem „Dość już tego!”. Drgnąłem. To na mnie zrobiło największe wrażenie. I na naszego syna też. „Tata, ja dosłownie podskoczyłem, jak mama krzyknęła, myślałem, że mama zwariowała”. Kantor zadowolony. „Teresa, świetnie to zrobiłaś”. Miał rację. Teresa opowiadała mi później, ile ją to kosztowało – cały czas o niczym innym nie myślała tylko o tej swojej roli. Ale też przeszła w niej samą siebie, no i weszła do historii polskiej awangardy. Niech mi żaden historyk sztuki nie waży się jej pominąć, jako uczestniczki pierwszego happeningu w Polsce. Dopilnuję! A mnie już Kantor z listy awangardowych twórców skreślił, jako że malarstwo wyzionęło ducha. Ale o ile dobrze pamiętam, w czasie tych przygotowań do happeningu zauważył na ścianie jakiś mój nowy obraz, na który żywo zareagował i głośno pochwalił. Więc może jeszcze to malarstwo nie umarło, przynajmniej póki my żyjemy – pocieszałem się w duchu.

sztuka

GALERIA „KORDEGARDA”
8 III–14 IV 1991

Pamiętamy jeszcze – lepiej lub gorzej – obrazy Andrzeja Wróblewskiego, przedstawiające poczekalnie, a także pojedyncze osoby siedzące w krzesłach, same stojące się poniekąd krzesłami; czasem ufnie siedzące nadal, choć ktoś lub coś spod nich siedzące nadal, choć ktoś lub coś spod nich krzesło usunęło; siedzące nieświadomie wprost na pustce; zatwardziałe w jakiejś smutnej ekstazie siedzenia.

Zazwyczaj oglądamy obrazy stojąc. Taka pozycja narzuca nam punkt widzenia i zapewne wpływa na jakość odbioru, ale przede wszystkim sprawia, że jesteśmy – jeśli tak można powiedzieć – na antypodach siedzenia. Staje się to czymś za czym, choćby bezwiednie, zaczynamy tęsknić, czymś co jest stanem wytchnienia, stanem przynależności do miejsca. Temat, podejmowany niegdyś przez Wróblewskiego, powraca w obrazach i rysunkach Jacka Waltosia, którego artystyczna i intelektualna renoma jest dobrze znana, także w związku z dawną grupą „Wprost”.

Oto fotel. Kształt tego mebla nasuwa skojarzenie zarówno z secesyjną falistością fin de

Henryk Waniek

Siedzenie Doktora Freuda

sięcle'u, jak i z wyposażeniem kosmicznego pojazdu. Waltoś powtarza ten fotel w kilkudziesięciu malowanych i rysowanych przedstawieniach, zawsze jednak w tym samym ujęciu, z tej samej, niemal obsesyjnej perspektywy. Wyznacza nam miejsce za fotelem tak, że widzimy go od tyłu. Jest pusty jak tron po abdykacji. W pewnym sensie ten konkretny mebel można uznać za jakiś wymyślnie powiększony i ażurowy kieliszek na jajko; ulubiony freudowski symbol libido; poczucia; macierzyństwa i życia.

I rzeczywiście – jest to fotel doktora Freuda. Co prawda, to nie w tym właśnie jajkowatym meblu wysiedział zacy doktor swą wielką naukę. Używał go tylko przez kilka ostatnich miesięcy swego życia. Fotel jest tu tylko nośnym symbolem, wykorzystanym przez Jacka Waltosia jako zachęta

do poddania się seansowi prywatnej psychoanalizy; na tyle głębokiej, na ile pozwala nam osobista chęć i gotowość. Jednak w pierwszej kolejności jesteśmy świadkami samoanalizy, jakiej dokonał pielgrzymujący do tego fotela artysta.

Program wystawy, na którą składa się seria obrazów oraz wspomagające je rysunki i rzeźby jest dosadnie zawarty w tytule: *Doktor Freud bada duszę ludzką*. Wielka to rzadkość. By tytuł był aż tak zgodny z wymową eksponatów. Równocześnie jest on intelektualnym kluczem, dowcipnie prowokującym zainteresowanych do spojrzenia na panoramę świata poprzez wszystkie prześwity wspomnianego fotela. Z pozoru panorama ta jest wypełniona malarskimi znakami, ale język czystej estetyki rychło rozbrzmiewa przedziwnym bogactwem pojęć, wartości i symboli. Nie jesteśmy wciągani, oczywiście, w jakąś błahą psycho-zabawę w rodzaju testów Rorschacha, z dopuszczalnością wszystkich swobodnych rojeń i interpretacji. Dbały o powinności artysty Waltoś dodaje do nich, w zgodzie ze swym temperamentem, powinności filozofa: przesłanie obrazu to teren, na którym dokonuje się właściwe spotkanie wyobraźni, żywego umysłu i naszej zagmatwanej rzeczywistości.

Gdyby mi było wolno przypisać wystawie Waltosia jakieś dydaktyczne przesłanie, mogłoby ono brzmieć następująco: Usiądź. Spójrz na to wszystko. Albo też: nie siadaj. Zatrzymaj się tylko, pomyśl i pójdz dalej.

Dorota Jarecka

Nie chcę tam siedzieć

Na wystawie w warszawskiej Kordegardzie Jacek Waltoś pokazuje dwa cykle obrazów olejnych, rysunków, pastel i rzeźb: *Doktor Freud bada duszę* i *Ludzie Czechowa*.

Pamiętam wrażenie, jakie wywarły na mnie jego kompozycje z końca lat siedemdziesiątych. W pracach z cyklu *Pieta w trójnasób* troje ludzi pojawia się w piramidalnej strudze światła. Światło płynie z żarówki zawieszony u sufitu.

Kompozycje Waltosia wyprzedziły, w jakiś proroczy sposób, sceny religijnego uniesienia w gdańskiej stoczni, modlitwy w fabrykach. Ale, w przeciwieństwie do dzieł innych artystów z krakows-

kiej grupy „Wprost”, nigdy nie były WPROST polityczne. Podczas gdy inni nad głowami własnymi i robotniczymi malowali aureole, Waltoś na suficie wieszał zwykłą żarówkę. W jego scenach patos był stłumiony zwykłością. Tylko zwykłe szczegóły budziły religijne skojarzenia. Trójkątny snop światła z brązowej *Piety w trójnasób* (z 1978 roku) przypomina płaszcz Madonny z ołtarzy średniowiecznych i z obrazów Murilla. W rysunkach i pastelach pod tym samym tytułem, gdy materia przerzedza się, widzimy, że to światło spływa na scenę dziejącą się w łóżku.

Z obrazów pokazanych w Kordegardzie znika wieloznaczność. Pojawia się

banal. W olejnych kompozycjach z 1987 roku z cyklu *Doktor Freud bada duszę* na pierwszym planie widać krzesło. Za krzesłem na tle żółtym i brunatnym tańczą jakieś postaci. Jak powiedziano w katalogu – figury z Rodina i Michała Anioła, dla mnie jeszcze z Blake'a, Leonarda da Vinci i samego Waltosia. Puste krzesło, przedstawione w skróconej perspektywie, wydaje się tak blisko, że widz zamienia się w pacjenta. To krzesło jest dla niego, to widz ma na nim siedzieć.

Widz jednak nie chce na nim usiąść. Może nawet poddałby się psychoanalizie. Ale ten seans za bardzo przypomina teatr. Za to postaci w rysunkach z cyklu *Ludzie Czechowa* pokazane są tak, jakby brały udział nie w zwykłym przedstawieniu, ale w seansie psychoanalitycznym. Nie przeczę, że interpretując sztuki Czechowa można zwrócić się do Freuda. Postaci z jego dramatów mogłyby posłużyć jakiemuś wykładowcy albo psychologowi jako typowe przykłady stłumienia popędów seksualnych. Ale dlaczego postać na rysunku dzieli się na troje. Czy to znaczy, że i w pisarzu Trigorinie tkwiło ego, libido i superego?

A jednak, mimo czasem zbyt wielkiej dosłowności, w pastelach i rysunkach Waltosia jest jakiś urok. Rysowane kredką i węglem na białym papierze, przypominają szkice scenograficzne albo rzeźbiarskie. Ludzkie sylwetki są niewyraźne, o zamazanych konturach, jak na prześwietlonej lub poruszanej fotografii.

Podobnie w rzeźbach – postaci zatrzymane są w ruchu i... w cieniu. Waltoś jest dużo lepszym obserwatorem świetlnych zjawisk niż reżyserem czy psychoanalitykiem. Niewielka brązowa figurka z 1988 roku wygląda tak, jakby ktoś z leżącej postaci wydrążył ocienione partie i zostawił tylko oświetlone słońcem plecy. Ta rzeźba, zmateriałizowana granica między ciemnym a jasnym, to „Sen w słońcu i w cieniu”. I wolę niedosyt tego prostego stwierdzenia niż szczegółową lekcję psychoanalizy.



JACEK WALTOSI *Dr Freud bada duszę ludzką...*

W poszukiwaniu straconej teatralności

Coraz częściej oglądamy przedstawienia, które dowodzą, że teatr powraca do opowiadania historii. Różnorodnych: wesołych i smutnych, wzruszających. Umiejętność opowiadania w sposób zajmujący najprostszą choćby fabułę jest jedną z kardynalnych zasad dobrego teatru, którą teatr polski w ostatnich latach utracił, bądź też po prostu zaniechał. Ważniejsze było podążanie tropem aluzji i uaktualnień (dokonywanych często za wszelką cenę) niż poszanowanie dla akcji, sprawne wiązanie ze sobą kolejnych zdarzeń czy budowanie napięcia dramatycznego.

Pokazana niedawno w Warszawie *Księżniczka Turandot* przywieziona z krakowskiego Starego Teatru również traktuje o zmaganiach teatru z opowieścią. Carlo Gozzi pisał swoje baśnie dramatyczne przede wszystkim po to, aby bawić. Niemniej ważne jak fantazja i wesołość, było dla niego odwołanie się do tradycji włoskiego improwizowanego teatru ludowego – *commedii dell'arte* z ustalonym kanonem postaci, opartej o schematyczny scenariusz wypełniony aktorskimi improwizacjami i popisami sztuki gry scenicznej w tak zwanych lazzi, czyli czymś co można by porównać z dzisiejszym gagiem czy kłownadą. Przydatność *commedii dell'arte* dla teatru poszukującego utraconej teatralności jest nie do przecenienia. To przecież konwencja oparta jest o to, co jest istotą teatru – aktora opowiadającego jakąś historię.

Księżniczkę Turandot można streścić w kilku zdaniach. Rzecz dzieje się w Chinach, gdzie córka cesarza palająca niechęcią do rodu męskiego próbuje uniknąć małżeństwa likwidując zalotników w sposób prosty, ale jak na baśń przystało okrutny. Zadaje im trzy zagadki. Stawką jest małżeństwo, zapłatą za przegraną głowa. Trzynastą ofiarą Turandot ma być książę Kalaf, który oczywiście rozwiąże zagadki. Happy end mimo konieczności pokonania jeszcze wielu przeszkód jest już nieuchronny. Można powiedzieć, utwór o tak prostej, a może nawet banalnej fabule (jakkolwiek po mistrzowsku napisanej) daleki od spraw metafizyki i tajemnic egzystencji, pozbawiony całkowicie związku z ulubioną „sprawą polską” stanowi dziś dla teatru prawdziwe wyzwanie. Jak zająć widza taką historyjką? W sukurs przychodzi zmęczenie i zniechęcenie publiczności do przedstawień „ambitnych”, najczęściej złych, napuszonych i manierycznych. Rośnie zapotrzebowanie na przedstawienia zabawne i piękne (nie głupie i kiczowate), na zajmujące opowieści.

Wystawiając *Księżniczkę Turandot* reżyser nie odważył się jeszcze na opowiedzenie tej historii wprost. Korzystając ze swobody jaką daje *dell'arte* rozbudował lazzi, nadając im zresztą odmienną od tradycyjnej funkcję. Pantalone, Tartaglia, Truffaldino i Brighella – postaci *commedii dell'arte* wystąpią jakby w potrójnych rolach: jako bohaterowie opowieści o Turandot, aktorzy odgrywanych w jej ramach lazzi i wreszcie

kłowni ze świata znacznie bliższego czasowo widzom niż świat chińskiego cesarza – kłowni sentymentalni i melancholijni, jak z filmów Felliniego. Tradycyjne i skonwencjonalizowane kostiumy nabrały znamion współczesnych. Z dawnego stroju Truffaldina – pstrokatej szachownicy uszytej ze skrawków materiału pozostała tylko mała aplikacja na ciemnym podkoszulku kapelusik zamienił się w czepek kąpielowy, a buty w trampki. Tartaglia – dziwny Pierrot – wędruje po scenie w meloniku, za długich spodniach i czarnych, urzędniczych zarękawkach. Śmiech nosi zamknięty w działającym na baterijkę mechanizmie – worku śmiechu.

Historię Turandot wystawiono posługując się najprostszymi środkami w teatrze amatorów (w dobrym tego słowa znaczeniu). Kostium chińskiego cesarza wykopano z kapy na łóżko, brodę starego króla z białych wstążek, tron z drabiny a znamię przepychu chińskiego pałacu jest wiszący nad sceną czarno-złoty patchwork.

Występującym w podwójnej roli postaciom wolno wygłosić tekst didaskaliów, przerwać przedstawienie brutalnym okrzykiem „Ciszej tam, bo słyszę telewizor z bufetu”. Ich obowiązkiem jest gra, bez utożsamiania się z postacią, ciągłe demaskowanie iluzji. Prawa takiego nie mają bohaterowie chińskiej baśni, a więc Turandot, jej niewolnice, książę Kalaf. Postaci te grane są z silną motywacją psychologiczną, na serio, środkami godnymi tragedii o Edypie. Pomieszenie tych dwóch różnych sposobów gry stwarza niejasny i przykry dysonans. W tym miejscu teatr sam siebie demaskuje. Okazuje się bowiem, że aktorzy stracili możliwość przekonującego utożsamiania się z rolą. Znacznie wygodniej i swobodniej czują się wtedy, gdy wolno im za-

chować dystans, pozostać osobą niemalże prywatną, jedynie demonstrującą zachowania postaci. Wszystko to sprawia, że świat komedianów *dell'arte* jakby wyciągniętych przed rampę do współczesności, jest ważniejszy i bardziej intrygujący od właściwej historii Turandot.

Swoiste intermedium stanowi wygłoszony z proscenium przez Jana Peszka monolog „Ja, Pierrot” według tekstu Michela Leiris. „Szminkę, którą powlekam życie noszę zawsze w ręku. Tkanino zdarzeń bez wartości, zabarwiam cię magią spojrzenia. (...) Kieliszek alkoholu, opróżniony jednym haustem, podnosi mnie do rzędu pijaków Dostojewskiego. Kiedy się zaś upiję zacznę spowiedź całego życia, zapominając oczywiście powiedzieć, że nie mogę ścierpieć banalności mego istnienia – przyglądam mu się umyślnie przez lunetę wzniosłości. (...) Moje życie jest płaskie, płaskie, płaskie”. (...) Niespodziewanie odkrywa się przed widzami nowy trop: teatr jako ratunek w świecie, który staje się coraz gorszy. Urządźmy przedstawienie, opowiedzmy historię o złej księżniczce, która zrozumie swe naganne postępowanie, opowiedzmy w nim o ludzkiej twarzy, którą trzeba chronić przed zużyciem się, o łzach i o śmiechu, a być może wszystko stanie się znośniejsze.

Po finale właściwym dla dramatu Gozziego, po szczęśliwym rozwiązaniu wszystkich wątków, nastąpi finał czterech kłownów – tych, którzy grali niewidzialnym balonem, zbierali przelane łzy do czerwonego strażackiego wiadra, bawili się puszczaniem mydłanych baniek, kłownów o smutnych twarzach, delikatnych, poruszających się w świetle efemeryd. Na koniec na tle białego ekranu widać ich sylwetki dyrygujące niewidzialną orkiestrą. Muzyka – melodyjna i łagodna – powoli otacza nas ze wszystkich stron. Czy kłowni dyrygują tylko orkiestrą? Udowodnili już, że potrafią stworzyć piękną i sprawiedliwy świat baśni. Może kiedyś opowiedzą nam inną historię?

Peer Gynt krąży po Warszawie

Warszawskie teatry zmierzyły się z historią Peer Gynta. Teatr Nowy i Centrum Sztuki Studio wystawiły dramat Henryka Ibsena niemal w tym samym czasie. Publiczność na ogół dziwi się podobnym multiplikacjom i źle je znosi. Dla krytyka natomiast jest to sytuacja wygodna. Samoczynnie niejako tworzy się siatka odniesień.

Peer Gynt w Teatrze Nowym jest przedstawieniem obyczajowym ze sporą domieszką psychologizmu.

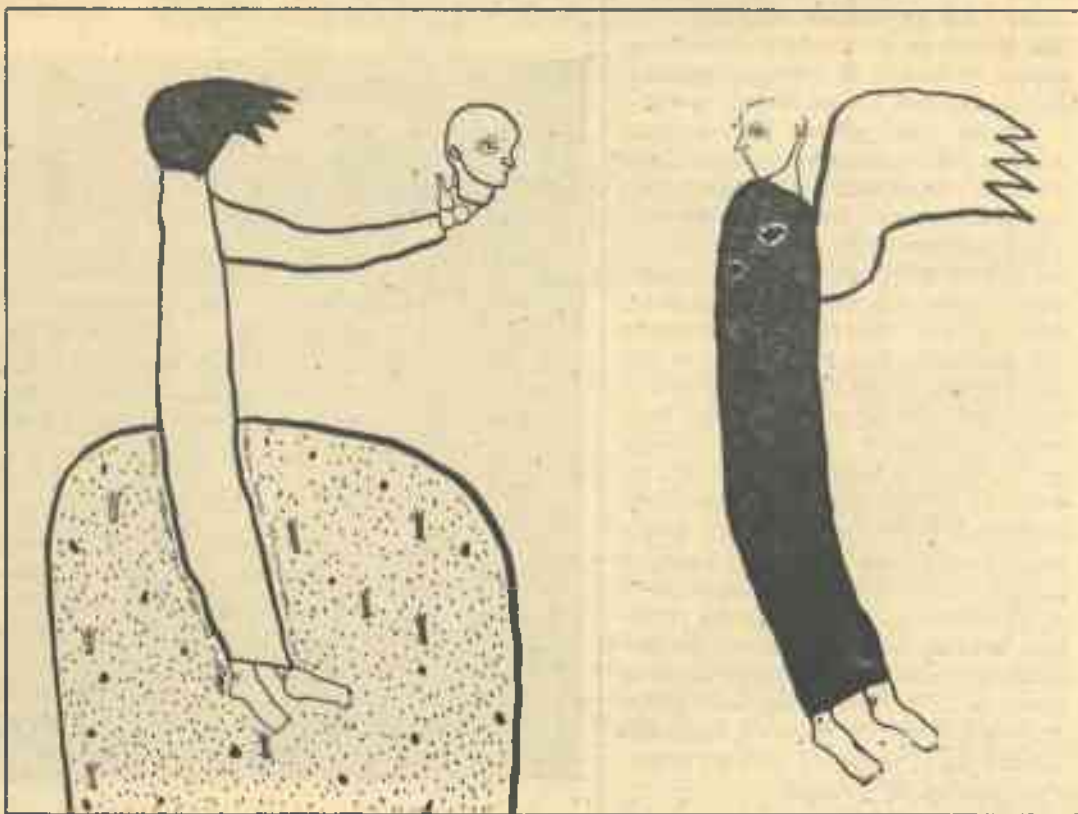
Główny nacisk położono na sceny rozgrywane w rodzinnej wsi Peer Gynta, szczegółowo potraktowano jego stosunki z kobietami z okolicy, próbując tłumaczyć tajemnicze i skomplikowane dzieje bohatera według prostacko pojętych

wskazówek doktora Freuda. Pełno tu nienormalnych dziewczek i służących, kulawych i paralityków, niezrównoważonych psychicznie – do nich zalicza się też matka Aasa.

Jedyną zaletą przedstawienia są ciekawe rozwiązania plastyczne. Scenografia w kolorze rdzawo – brązowym przypomina opadające tarasami pola uprawne. Może też sugerować górzystość okolicy. Konsekwentnie utrzymywany (także w kostiumie) kolor spalonej ziemi świetnie oddaje złowrogi klimat pustkowi. Nieprzychylna i okrucieństwo krajobrazu powiększają zaczeplone na długich drutach czarne wrony (?), kruki (?), którymi wymachują aktorzy (w drugiej części dla ciekawej jasności miejsce upierzonego ptaków zajmują ich szkielety). Wszystko to jednak nie zmienia faktu, że właściwie nie wiadomo o czym jest ten spektakl, a konia z rżędem temu, który zgodnie po co został zrobiony i dlaczego użyto aż tak wielkiego tekstu dla pokazania kilku przygód rozbójnika Rumcajsa. Kluczowe dla Ibsena pytanie o tożsamość bohatera: „być sobą czy poprzestać na sobie” pojawia się kilka razy, ale nie ma szansy przedrzeć się przez wrzask i charczenie wykonawców. Aż żal, że w scenografii zbudowanej tak jak w teatrze lalek, poruszają się żywi aktorzy. Wyjątkiem w ensambli jest Edyta Jungowska grająca Solweję. Całą resztę bez żalu można oddać Odlewaczowi Guzików, który, jak wiadomo, zajmuje się wyhuskiwaniem w świecie tego co mierne i bezwartościowe. Dodam jeszcze tylko, że oprawa muzyczna zadziwia swoim wyrafinowanym eklektyzmem nawet najodporniejszych: Georghe Zamfir, „Kwartet Jorgi”, „The Serpent's Egg” i Nino Rota. Brakuje tylko metafizycznego, dobrego na każdą okazję, brzmienia Jean'a Michella Jarne'a.

Nie warto pisać o złych przedstawieniach, chyba, że są przykładem jakiejś niebezpiecznej tendencji w teatrze. W spektaklu Waldemara Zawodnińskiego znać rękę Mistrza, dyrektora Teatru Nowego, który, jak wiadomo, uparcie udowadnia, że cała klasyka i większość sztuk współczesnych traktuje w gruncie rzeczy o „kierdaszeniu” (tak nazywał tę czynność Witkacy). Toteż wszystkie skojarzenia Peera są jednoznaczne i wulgarne. Wątpię, aby w tej dewiacji była metoda i proponuję powiedzieć „nie” Hanuszkiewiczowi w teatrze.

Peer Gynt w Centrum Sztuki Studio wyreżyserowany został przez goszczącego w Polsce na zaproszenie Jerzego Grzegorzewskiego amerykańskiego reżysera Davida Schweizera, który jednocześnie zrealizował tu sztukę Sama Sheparda *Kły zbrodni*. Schweizer z pozoru potraktował



ANNA MARIA BAUER

Andrzej Kopacki

Szkola pamięci

TIMOTHY GARTON ASH *Niemcy i Europa Środkowa*

Czas: lata osiemdziesiąte. Zwykle jest tak: skalpel potomności tnie równo gruzłowatą, poprzerastaną tkankę historii. Potem fizyka, daty graniczne, nazwa epoki. A tymczasem...

Oto któryś ze słonecznych, choć wciąż jeszcze chłodnych dni 1912 roku. U Sachera jak co środa zebrał się pisarze. Jest Hofmanstahl, Schnitzler, Bahr, Kraus, kto tam jeszcze? Ach, oczywiście, profesor Mach, spóźnił się jak zwykle. Mówi, że jest w Kopenhadze młody fizyk, który pracuje nad planetarnym modelem Rutherforda i ma interesujące spostrzeżenia. Tematem dnia jest jednak katastrofa parowca na Atlantyku, zginęło podobno tysiące ludzi. Już za chwilę rozmawia się o polityce (szef sztabu von Hötendorf znów wygrażał Serbom i Włochom), a potem, jak to przy kawce: coś tam o solipsyzmie, o przewidywaniu historyzmu, o etycznym wymiarze gramatyki. Hofmanstahl opowiada właśnie o swej ostatniej rozmowie z Richardem Strausssem, kiedy do stolika podchodzi chudy młodzian z teczką pod pachą. Bładołicy, wąsaty, w długim znoszonym palcie. Przeparsza zdawkowo i proponuje kupno rysunku: wyściełana aksamitem gablotka, a w niej lanca. Młodzian odrzuca spadający na czoło kosmyk włosów i mówi szklanym głosem, jakby do siebie: święta włócznia Germanów, pogromców Attyli spod Troyes... Któryś z mężczyzn rzuci okiem na podpis, spiczaste litery ułożone w dwa słowa: Adolf Hitler. Panowie uśmiechają się z zakłopotaniem. Młodzian odbiera rysunek i odchodzi bez słowa.

Co znaczy ta wyszana z palca historyjka? Nic takiego, nie byłem w Wiedniu owego kwietniowego popołudnia, nic nie wiem o środowiej kawce austriackich modernistów. Ale Pisarz, o którym chcę mówić, był w Warszawie, Berlinie, Budapeszcie i Pradze i widział. Napisał kilka książek nie potrzebując skalpela; miał do czynienia z żywą tkanką. Opisał tamtą epokę.

Miejsce: Europa Środkowa. Na okładce bladoniebieska reprodukcja mapy z podziemnego pisma czeskiego „Střední Evropa”. Nazwy i nazwiska: Královec: H. Arendtová; Wilna: C. Milosz; Lemberk: Golda Meirová; Cernovice; Paul Celan; i dalej na zachód: Ionesco, Koestler, Chopin, Polański, Kundera... Czy Europa Środkowa istnieje? „Może się skończyć na nowej wersji 'Zwischeneuropas' Giselhera Wirsinga lub obszaru przejściowego, opisanego przez węgierskich pisarzy i historyków, gdzie ich gospodarki będą eksportowały aluminiowe patelnie, soki owocowe, tanie buty i tanią siłę roboczą, a importowały niemieckich turystów i japoński kapitał”. Są w tych książkach rzeczy, które Pisarz powtarza natrętnie: że brandenburska wieś wciąż wygląda jak w czasach Fontanego, że czeski biskup pracował jako mleczarz, że przyszłość Europy Środkowej wcale nie musi być różowa.

Są kłopoty z definicją. Europa Środkowa ma niewyraźne kontury. „Uogólniać to być idiotą. Tylko wyszczególnianie jest prawdziwą zaletą”. Pisarz podziela zdanie Williama Blake'a i przedkłada lupę nad skalpel. Nie musi się wstydić swoich powtórzeń ani obrazowej stylistyki – Czechosłowacja skuta lodem, Węgry w labiryncie luster... Esej obrasta świeżym ciastem, a metafora „otomanizacji” po 1989 roku nic nie traci ze swej nośności. Uprzątnięcia, jak daleko Europie Środkowej do Europy. Początek dekady, Niemcy, Weimar–Buchenwald. „Na zboczach Etterberg Goethe odbywał w pewien piękny jesienny ranek 1827 roku piknik w towarzystwie wiernego Amanuensisa Eckermanna, oparty plecami o jeden z tych wspianych dębów, które tak lubił (...) Dyrek-

tor buchenwaldzkiego muzeum opowiada, jak 24 sierpnia 1944 roku dąb zapalił się od bomby po nalocie alianckim; jak ogromne drzewo płonęło do późna w nocy niczym pochodnia 'innych Niemiec'; jak rozwścieczeni tym esesmani chwycili w końcu za siekiery, żeby je zrębać. Komunistyczny pisarz Bruno Apitz wyrzeźbił potem z kawałka dębu Goethego małą głowę cierpiącego człowieka i nazwał ją „Das letzte Gesicht” – „Ostatnia twarz”. Nie znam bardziej dobitnego symbolu nowożytnych dziejów Niemiec”. Pisarz wie, że manichejska wizja Niemiec dwojga narodów, duchowego i politycznego, jest karykaturalna, ale najwyraźniej lubi tę wiele, zbyt wiele, wyjaśniającą dwupciową figurę, straszno-szlachetną, przywołaną w 1945 roku przez Tomasza Manna. Pierwsze zdanie: „Buchenwald spogląda na Weimar”. Kult introwersji w odpowiedzi na barbarzyństwo tłumaczy fenomen emigracji wewnętrznej. Ostatnie zdanie: „Emigracja, powiada się, to niemiecka forma rewolucji”. Mimo wszystko prorocze słowa.

Bardziej oryginalna jest jednak inna myśl. „Nie da się usunąć z Weimaru ducha Goethego, przepędzić egzorcyzmami Lutra z Wittenbergi ani Feyderyka Wielkiego wygnąć z Poczdamu (...) W części wschodniej można ciągle jeszcze odnaleźć coś z tego prawdziwego, Döblinowskiego Berlinu (...). W domach Goethego i Schüllera, w klasycystycznych parkach Tiefurt, Belvedere i nad Ilmem oddycha się atmosferą, jakiej nie sposób znaleźć w całych Niemczech Zachodnich. I tu dają o sobie znać konserwacyjne własności wschodnioeuropejskiego socjalizmu. Wydaje się, że Weimar został hermetycznie zamknięty pod szklanym kloszem”. NRD jest bardziej niemiecka niż socjalistyczna, bardziej niemiecka od swej amerykańskiej (choć antyamerykańskiej) siostry zza Łaby. A stąd, od krajobrazów i architektury, niedaleko już do antypolskiego w latach 1980–1981 nacjonalizmu, militarystyki, religii obowiązku, ducha podwładności. Rewers niemieckiego dualizmu: NRD jest nie tylko spadkobierczynią Prus, jest dużo gorsza niż Prusy.

Barwy Prus to czerń i biel. W NRD dominują szarości – kolor drelichu i dnia codziennego, ale też brandenburskich jezior i rycin z wizerunkiem Lutra. W 1985 roku pisarz bierze pod lupę kwestię niemiecką; czytelnik spostrzeże, że wschodnie i zachodnie szarości wcale się nie rozszczepiają, lecz zlewają w jeden kleks na mapie Europy. Niemcy Federalne są znerwicowane. Lawirują między Wschodem a Zachodem. Budzą niepokój sojuszników. Boją się utracić cnotę (kompleks żony Cezara), sie skłonne są flirtować z niedźwiedziem. Mają system najlepszy we własnej historii, ale podminowany potencjalnym konfliktem między wolnością a jednością. Są stabilną, trójkolorową demokracją ze skłonnością do czerwono-zielonej historii.

Pisarz ostrzega przed przewrażliwieniem, i słusznie. W pewnym sensie jest już po wszystkim: odprawili Amerykanów, ucałowali Gorbaczowa i połączyli się w ducha wolności. Ale

skąd ten sarkazm? Wszak Pisarz wcale do niego nie prowokuje; przeciętne podziawo Niemiec uznaje za warunek pomyślnej przyszłości w Europie. Tylko że ta perspektywa w roku 1985 nie ma w sobie nic patetycznego. Nawet szlachetne intencje Niemców wyrażają się we wszędobylskiej potwórki intelektu: „Jako ci, którzy zaczęli ostatnie dwie wojny światowe, Niemcy zdecydowani są nie zaczynać kolejnej. To podziwu godne poczucie historycznej odpowiedzialności wykazują pisarze po obu stronach Muru: istnieje (...) wszechniemiecka opinia intelektualna. Ale jaka to opinia? Ślepy pacyfizm Grassa, Wolfa czy Hochhutha, indyferentyzm w traktowaniu obu supermocarstw i chorobliwy antyamerykanizm, a wreszcie Polska, która 13 grudnia 1981 roku przeszkodziła w niemiecko-niemieckim zbliżeniu, Helmut Schmidt odpowiada dziennikarzowi: „Pan Honecker jest równie skonsternowany jak ja, że to okazało się konieczne...” (podkr. TGA).

Opinia intelektualna, oto klucz do myślenia Pisarza o Europie Centralnej: Solżenicyn i Gorbaniowski, Havel i Kundera, Michnik i Mrozek, Konrad, Kunze, Brecht... Jednych się lubi, drugich nie, ale warto im się przypatrzeć, bo to oni robią rewolucję; usadowieni między Wschodem a Zachodem, emigranci i aktywiści, w więzieniach i na salonach, mniejszość nieznaczna lecz znacząca. Takie to w sumie egzotyczne: studzy idei jako pomywacze i nocni stróże,



STANISŁAW FIJAŁKOWSKI 11 XII 70

bohaterowie zaszczyt w kotłowniach, mistrzowie pióra w aurze wtajemniczenia – malowanka jakże powabna dla odartych ze znamion wyjątkowości intelektualistów Zachodu.

Czy nie tak właśnie, przez uparte ewokacje, prawda obrasta mitem?

To oni tworzą Europę Środkową (w Niemczech najmniej, ze względu na specyfikę wewnętrznienieckiej emigracji oraz wspomnianą ignorancję środowisk opiniotwórczych). Pisarz rekonstruuje nową Europę Havla, Konrada i Michnika – antypolityczne królestwo ducha, zamieszkałe przez podmiotowe społeczeństwo obywatelskie, wsparte na fundamencie moralnym. Wypunktowuje różnice – konradowska „arystokracja intelektu” w Czechosłowacji zajmuje się myciem okien, a w Polsce nie po drodze jej z kadarystami. Wreszcie wytyka słabości – pogardę dla ekonomii, bezradność wobec zagadnień niemieckich, bezsilność wobec politycznej rzeczywistości: „Antypolityka jest produktem życia w kłęsce. Ile z niej ocalało się po zwycięstwie?”

Tymczasem gruchnęło. Rewolucja czy reforma? Niby to samo pytanie, co w Erfurcie przed stu laty, gdy niemieccy socjaldemokraci spierali się o program, niby to samo, co w sześćdziesiątym ósmym na kampusach uniwersyteckich. Ale też

jakby inne; Pisarz szuka nowych słów. Nie przypadkiem, skoro to „rewolucja intelektualistów”. a reżimy zginęły od słowa. Więc w Polsce i na Węgrzech była „rewolucja” – zmiany odgórne, naciski oddolne... Ale w Niemczech? „Te niezwykle, pokojowe, uparte demonstracje w Lipsku – zaczynające się w poniedziałek modlitwą o pokój” w kościołach – rosły z tygodnia na tydzień, najpierw 70 tysięcy, potem dwa razy tyle, potem 300 tysięcy, potem może pół miliona. Cała NRD wyla się w bólech porodowych. Stary świat brzemienisty był nowym, jak powiedział Marks”.

Pojawia się tłum. Ślasy górniczy, gdańscy stocznioi, mieszkańcy Budapesztu, Lipska, Pragi. Demos przemówił i przez aklamację uprawomocnił nową władzę. Oto i rewolucja – Wiosna Obywateli.

Rewolucja 1989 ma różne wersje. Wydaje się, że pisarz najbardziej lubi tę teatralno-magiczną rodem z Pragi, improwizowaną i roześmianą, z ludem w roli dyskretnego statysty, który ma swoje pięć minut; lubi ją bardziej niż niezbyt subtelne niemieckie spęcznienie. Wywód zaczęty u progu dekady gdzieś w okolicach Checkpoint Charlie upraszcza się do zwykłego zadania rachunkowego: rewolucja równa się zjednoczenie plus waluta wymienna. Po stronie wartości zredukowanych zostaje w niej „nieopierzona” opozycja ze swymi „mętnymi” propozycjami. Ot i zwycięstwo polityki wewnętrznienieckiej, trójkolorowy patos, który nie budzi entuzjazmu.

Dopiero na zakończenie, gwoździ sprawiedliwości, padają trochę jakby wymuszone słowa „Był to moment emancypacji i wyzwolenia, który obywatele NRD zdobyli dla samych siebie. Na tę chwilę czekali równie długo jak wszyscy inni mieszkańcy Europy Środkowo-Wschodniej. Mieli do niej takie samo prawo jak inne narody”.

Rzecz jednak nie w literackich niuansach, bardziej lub mniej czytelnym sympatiach i antypatiach. Tylko?

Pisarz opowiada o filmach. Film pierwszy: „Pamiętajcie, pamiętajcie, to jest film o tym, co Niemcy zapamiętali. Niektóre rzeczy zapamiętali w pełnych barwach. Niektóre w kolorze sepii. Niektóre woła zapomnieć. Pamięć jest wybiórcza. Pamięć jest stronnicza. Pamięć jest amoralna”. Film drugi: „Shoah jest także filmem o pamięci. Pamięć płata figle. Shoah również. Ale inne niż Heimat. Reitz pozwala Niemcom zapomnieć. Claude Lanzmann zmusza wszystkich, by pamiętali”. Résumé: „Oba filmy przypominają nam: Pamięć jest zwodnicza, pamięć jest amoralna, pa-

mieć jest również zapomnianiem. Istnieją rzeczy, którym pamięć nie potrafi spojrzeć w twarz”.

Zapomnienie po orwellowsku miało być narzędziem totalitarnego zniewolenia, sankcjonować schizofreniczne rozszczepienie świadomości między *pays réel* i *pays légal*. Ale z drugiej strony ta pamięć, która kłamie...

Istnieją rzeczy, którym nie potrafi spojrzeć w twarz. Jeśli literatura jest zaszyfrowaną pamięcią, to kto wie, czy tak właśnie nie myślał przed ponad półwieczem praski rencista, były urzędnik zakładów ubezpieczeniowych, genialny cierpiętnik, który po godzinach pracy wycharowywał na papierze monstrualny świat sądowych katakumb, zamkowych korytarzy, kolonii karnych – a potem zapragnął pograć swe dzieło w mrokach niepamięci? Bo ta prawda ma wymiar jednostkowy, może dotyczyć własnej gehenny lub euforii, kataklizmu lub triumfu, tego, czym nasiąka historia.

A my? Co z nami, z naszą pamięcią przeszłości i przecuciem przyszłości, tego co było i czego nie było? Dzięki Bogu, że mamy historyków – mówi Pisarz. Pozostaje nam przyznać mu rację.

Ja poetycki ciulacz

KAZIMIERZ NOWOSIELSKI, *Wiersze wybrane*. Wstępem opatrzył Jacek Łukasiewicz, „Wydawnictwo Morskie”, Gdańsk 1990

Nieustający jazgot pseudopolityczny coraz wyraźniej nadaje naszej rzeczywistości wszelkie znamiona bełkotu wariata. Dosłyszanie czyjegokolwiek głosu staje się już niemal niemożliwe, zwłaszcza, gdy jest to głos kogoś mówiącego szeptem, kogoś próbującego prowadzić rozmowę z poprzednikami, którego „ja” rości sobie tylko jedno prawo: do mówienia we własnym imieniu.

Dlatego niesłuchanie urzekł mnie wiersz, zamieszczony w wyborze Kazimierza Nowosielskiego:

Ciulacz

Ja poetycki ciulacz
chodzę po ludziach
by odwiedzić siebie
Uczę się po listku trawy
po wiosennych janowcach
po jesiennych goryczkach
Biegam od zdumienia
do zdumienia
niby kowalik po pniaku
gałęzistego świata
Ja poetycki ciulacz
jak uczniak który udaje
że więcej umie
niż zrozumiał

Urzekła mnie ta niesłuchana pokora, skromność i ściszona tonacja wypowiedzi. Gdzieś w tle tego wyznania, które otwiera zaimek „ja”, pobrzmiwają nie mniej ściszone głosy Wisławy Szymborskiej czy Jana Twardowskiego. A jednak zachowana zostaje tożsamość i niepowtarzalność człowieka mówiącego „ja”.

Aby go przybliżyć przypomnijmy wiersz „Dlaczego piszę”, zadedykowany pamięci Kazimierza Wierzyńskiego

Bo nie chcę być wygnany
choćby z rozpacz
Bo liść akacji chwieje się w wiełu

wymiarach
Bo to co wydarte dosłowności
wydaje się odrobinę ciekawsze
Bo to interesujące udawać że się idzie
parę kroków przed rzeczywistością
Bo nic nie powinno być zmarnowane
i dobrze mieć coś z tego że pies wyje
albo szuka kości
Bo piękne są w strofach Maryle i Zośki
Bo nie zawrócę dnia przeciwko nocy
Bo nie wszystko pomierzę odległością
lub snem
Bo bywa także i z namysłu śmiech
a wiersz jak gwóźdź wyjęty z dłoni

Tylko tyle, czy może aż tyle ma na swoje usprawiedliwienie Nowosielski. Co więcej, uważny czytelnik dosłyszycie tu wyraźnie przynajmniej fragmenty *Sprawy wyobraźni* Zbigniewa Bieńkowskiego, urywki z wierszy Jana Twardowskiego. To zestawienie wydać się może szokujące, przynajmniej dla odbiorców nawykłych do operowania jednoznaczными etykietkami. Nieco inaczej sprawy się mają z perspektywy „poetyckiego ciulacza”. Kazimierz Nowosielski niesłuchanie uważnie słucha ludzi, jest poetą wrażliwym na innych poetów. Świadomie sam siebie

zalicza do gatunku minores – a nie ma to nic wspólnego z kokieterią czy fałszywą skromnością. Chodzi po prostu o wyobraźnię poetycką. Ot, jak powiada Zbigniew Herbert:

fortepian na szczycie Alp
grał mu fałszywe koncerty

nie cenil labiryntów
sfinks napawał go odrazą

mieszkał w domu bez piwnic
luster i dialektyki

dżungle skłębionych obrazów
nie były jego ojczyzną

Zatem: jest to sprawa wyobraźni „poetyckiego ciulacza”.

Ciulacz nie dorobi się nigdy fortuny, skarbów przez niego nagromadzonych nie można porównać z zasobnymi kufkami lichwiarzy, gdzieś im do magnackich fortun, książęcych bogactw, których właściciele sami nie zdają sobie sprawy z własnej zasobności i podając stan majątkowy muszą używać słówka „około” – wszak dokładnej wielkości nawet nie wypada znać. Alć to nie znaczy, by poetyckie skarby, uciulane latami przez Kazimierza Nowosielskiego, zasługiwały na lekceważenie czy wręcz pogardę. Tym bardziej, że nikt nam tu nie ofiarowuje tombaku w miejsce złota wysokiej próby ani nie narzuca się ze swymi zbiorami.

Ten niepozorny objętościowo tomik *Wierszy wybranych* (nie dość, że „ciulacz”, to jeszcze sknera czy raczej podejrzliwy skarbnik, przeglądający surowo zebrany dobytek w poszukiwaniu plam rdzy lub śniedzi) przynajmniej dla mnie nie ma nic wspólnego z podsumowaniem poetyckiego rozwoju, z zamknięciem jakiegoś etapu poszukiwań. Wybitny znawca zaświatów – Bolesław Leśmian – w następujący sposób w klechdzie pt. Jan Tajemnik ukazuje proces wielce osobliwy: „Cały las zbłękitnił się zjawionymi płomykami, aż zaroilo się w nim od tych migotów zaklętych, bo w całym lesie odbywało się teraz pośpieszne i pracowite przesuszanie się skarbów, że to wszystko, znużone długim leżeniem i przesiąknięte wilgocią, wypęzło tłumnie z nor podziemnych, niby robactwo, stopą Bożą pominięte, a dloniom ludzkim nie zawsze dostępne. Pomimo wrzenia tej pracy pilnej i w sobie skupionej, nie było w lesie słychać nic, prócz wydechu ziemi parnej i tego piętrzenia się wśród drzew ciemności, która się zмага z własnym nadmiarem”. Czyż muszę tu mówić o Leśmianowskim rodowodzie figury „poetyckiego ciulacza”? Wśród „przesuszających się skarbów” tomik Nowosielskiego na pewno nie jaśnieje najjaśniejszym blaskiem, jednak jego płomyk, migotliwy, chwiejny i skromny, paradoksalnie niesie ze sobą poczucie pewności: nie zagaśnie wypalwszy się w oślepiającym

Marek Zagańczyk

Zapomniany prekursor

JAN POMIAN, *Józef Retinger, życie i pamiętniki „szarej eminencji”*, Wydawnictwo Pelikan, Warszawa 1990

Konstanty Jeleński nazwał go anachronicznym prekursorem. „Postać Józefa Retingera, zdawała się należeć do innego wieku. Ale ta wenecka bauta, ta peleryna, ta szpada były na służbie wizji politycznej zawsze wyprzedzającej teraźniejszość”. Mimo niezaprzeczalnych zasług, roli jaką odegrał w dziejach Polski i Europy, Retinger pozostaje ciągle nieznanym. Przez całe życie był człowiekiem skromnym, ukrytym w cieniu innych. Nie dbał o własną sławę, o rozgłos. Nawet nie ukończył pamiętnika. Zawsze działał się coś ważniejszego. Nie miał czasu. Dla polityka wakacje trwają krótko. Retinger pozostawił jedynie notatki, fragmentaryczny zapis przeszłości. Po jego śmierci Jan Pomian, jego długoletni sekretarz, wydał je uzupełniając obszernym komentarzem. Powstał rodzaj portretu, dziwny bo malowany w części przez osobę przedstawioną. Autobiografia spisana po śmierci.

Życie Retingera, zauważa Jeleński, przywodzi na myśl dzieje Casanovy, Ka-

walera d'Eon, Capo d'Istrii, Abbé de Saint-Pierre'a. Jest w nim coś fantastycznego, niemal fikcyjnego. Trudno uwierzyć, aby jeden człowiek przeżył tak wiele, był wszędzie tam, gdzie decydowały się losy Europy. W wieku dziewięciu lat Retinger stracił ojca. Zaopecował się nim Władysław Zamojski, syn generała, dziedzic olbrzymiej fortuny. Retinger mieszkał początkowo w Krakowie. Uczył się w mieście, które żyło przeszłością, czasem narodowych powstań, nadzieją niepodległości. Dla młodego człowieka, który marzył o karierze dyplomaty, wielkiej polityce, bogoojczyźniana atmosfera Krakowa była nie do zniesienia. Któregoś dnia Retinger wykrzyknął do szkolnego kolegi: „Chciałbym, żeby Polska wkrótce znów była wolna, abym nie musiał być przeklętym patriotą”. „Nie chciałem wyrzec się przeszłości, ani wewnętrznego dyktatu tradycji – zapisał po latach – ale jednocześnie młody, aktywny umysł skłaniał mnie, by szukać nowych, szerszych horyzontów; by dochowując wiary ojców, żyć jednocześnie życiem współczesnych Europejczyków”. W 1906 roku Retinger znalazł się w Paryżu. Rozpoczął studia w École des Sciences Politi-

chwilowym błysku, nie pozostawi po sobie smętej smugi tłustego kopcju z płatami sadzy.

Kazimierz Nowosielski, w odróżnieniu od większości współczesnych poetów polskich, i tych ze starszej, z wolną marmurzejącej w klasyków i z młodszej generacji nie wstydzi się tego, że pisze wiersze. Nie wstydzi się też, tego, że czyta wiersze innych. Nie jest to dlań powód do wstydu ani do szczególnej dumy. Poeta to ten, który mówi o ważnych dla siebie sprawach do niewielkiego grona przychylnych mu ludzi, posługuje się własnym językiem starannie dobierając słowa. Nie podnosi nigdy głosu, świadom tego, iż rozmowa, także i poezja, wymaga choćby odrobiny przychylności.

Jedno jest pewne: *Wiersze wybrane* Kazimierza Nowosielskiego pojawiły się w niezbyt sprzyjającej sytuacji społecznej; wybornie zdaje sobie z tego sprawę Jacek Łukasiewicz, we *Wstępie* gromadząc argumenty... usprawiedliwiają. Czyż jednak oddychanie lub słowa wypowiedziane szeptem wymagają usprawiedliwień i uzasadnień? Nie sądzę. Atoli oczekiwanie na sprzyjającą sytuację dla *Wierszy wybranych* Nowosielskiego mija się z celem, taka chwila może nie nadejść nigdy. Czytelnikowi bez reszty zaaferowanemu codziennym jazgotem do zaoferowania autor niewiele ma, natomiast zabierając się do przeglądania tych może i uboższych skarbów zdobyć się trzeba na wewnętrzne wyciszenie. Czy warto sobie zadawać aż tyle trudu, nie uzyskując w zamian fraz i urywków nadających się do głośnej publicznej recytacji – na to pytanie już każdy sam musi sobie odpowiedzieć. Szept Kazimierza Nowosielskiego nie jest adresowany do wszystkich, ludzie o przytępionym słuchu nic tu nie zdołają posłyszec.

ques. Dobrze znał francuski. Spokrewniony z Godebskimi wkroczył na paryskie salony. Tam też poznał markiza de Castellane, sławnego Boni, jednego z najinteligentniejszych dandysów Francji la Belle Époque. Razem chodzili do Café Vachette, na rogu bulwaru Saint-Michel i rue des Écoles, której gośćmi byli także Jean Giraudoux, i François Mauriac. U Godebskich Retinger spotykał Maurycego Ravela i Pierre'a Bonnarda, dopiero walczących o uznanie. Ale Francuzem, który wywarł na niego największy wpływ był André Gide. Retinger poznał go jadąc pociągiem z Pragi do Paryża. Później widywali się często rozmawiając o literaturze i malarstwie. Gdy Retinger napisał opowiadanie. Gide był jego pierwszym lektorem. Niestety wyrok mistrza brzmiał: „Nigdy nie stanie się Pan pisarzem”.

Po wyjeździe z Francji Retinger kontynuował studia w Monachium. Później wrócił do Krakowa, gdzie wydawał „Miesięcznik Literacki i Artystyczny”, w którym publikowali między innymi: Leśmian, Kasprovicz, Staff, Orkan, Strug. *Ciasna brama* Gide'a ukazała się w nim w odcinkach zanim jeszcze wydano ją we Francji. Po roku, z powodów finansowych Retinger musiał zamknąć pismo. Wówczas zaczęła się jego polityczna kariera. Po raz pierwszy wyjechał z oficjalną misją do Anglii. W Londynie zabiegał o przychylność angielskiej opinii publicznej w sprawie niepodległości Polski. Poznał i zaprzyjaźnił się z Josephem Conradem. Razem pisali nawet sztukę opartą na motywach „Nostromo”.

W czasie pierwszej wojny światowej Retinger prowadził negocjacje w sprawie odrębnego pokoju z Austrią. Pomagali mu brat cesarzowej Zyty, ks. Bour-

Powiało grozą...

DAPHNE DU MAURIER: Makabreski. Przekład zbiorowy, Wydawnictwo GiG, Warszawa 1990, *Świat grozy*. Wybór Ewa Kieruzalska-Gewartowska. Przekład zbiorowy, Oficyna Wydawnicza SAWA, Warszawa 1990

Ilekoć widzę umieszczony na okładce książki napis złoty lub srebrny: „horror”, tylekoć opuszcza mnie ochota sięgnięcia po tę książkę (o przekartkowaniu nawet nie ma co mówić). Kolejne powroty MANITOU wywołują tylko obawę o stopień rozwoju techniki komputerowej w Stanach Zjednoczonych. Natomiast, jak słyszałam, okropieństwo DZINNA jest niczym w porównaniu z konsekwencjami wypicia kilku kieliszków „dżinu lubuskiego”. O TUNELACH, NAWIEDZONYCH, OCALONYCH w ogóle nie ma co mówić, nawet najwrażliwsza uczennica szkółki niedzielnej po usłyszeniu takich opowieści wzruszyłaby z politowaniem ramionami, w końcu Tomek Sawyer nie takie rzeczy przeżył bez szwanku, a na pewno lepiej potrafił o nich zdać relację.

Wcale jednak nie uważam, by klasyczna powieść grozy skazana była pod koniec wieku XX na nieuchronny kres. Pomijam tu oczywiście strachy, jakie nekają dziecinnej wrażliwości w zastraszającym tempie Amerykanów. Daleko nam do ich obaw, w Trójmieście czy Warszawie ładu by nie zdołał zaprowadzić jeden Batman, sam porucznik Torello w Łodzi zostałby skatowany do nieprzytomności i okradziony nawet ze skarpetek. A jednak dobrze, zwłaszcza wieczorem, w pustym domu sięgnąć po książkę, dzięki której po plecach przechodzi dreszcz niepokoju. Jest to jakiś sposób na upewnienie się, czy aby nie pozbawiono nas resztek ludzkich uczuć. Oczywiście jeśli nie zrazi ostatecznie do lektury okładka, urągająca zazwyczaj nawet elementarnym regułom kiczu. Nieudolny kicz – to nowa technika graficzna większości prywatnych oficyn wydawniczych. Ale to zgroza, nie zaś groza.

Natomiast jeżeli ktoś uważa, że nie wszystkie zjawiska irracjonalne poddają się jednoznacznej racjonalizacji, niesamowitość zaś obecna jest w pozornie zwyczajnym życiu codziennym, to proszę bardzo. Tym bardziej, że w tym przypadku mamy tu do czynienia z nazwiskami sprawdzonymi albo przez samego Alfreda Hitchcocka, albo przez gruntowną penetrację zaświatów, poświadczoną także w innych utworach.

Za oknem zapada zmierzch. Słychać w ciszy rozsychnięcie się starych mebli. Sucha gałąź zaczyna łomotać w szybę. Z oddali dobiega wycie samotnego psa. Księżyc w pełni. Nagle zgasło światło w całym domu. Ani zapalek, ani latarki nie ma pod ręką. Przyjemnej lektury...
Ada M.

Pisarz skazany na zapomnienie

STANISŁAW REMBEK: Nagan. Posłowie: Tomasz Burek, seria: Proza dwudziestolecia, Czytelnik 1990

Posłuszenie się tutaj zwrotem „cenna inicjatywa” dowodziłoby jednak prostactwa piszącego jak i braku odpowiedzialności za słowo.

Stanisław Rembek to pisarz, którego ludzie odpowiedzialni za tak zwaną politykę kulturalną PRL skazali na nieobecność w życiu społecznym. I nakaz ten został wykonany w miarę precyzyjnie. Jeżeli nawet mówiono o wojnie polsko-bolszewickiej, to do atmosfery półkonspiracyjnych uroczystości nie przystawały ani *Nagan*, ani *W polu*. To zrozumiałe, przecież dość chłodno przyjęty został przed kilku laty tom Bułhakowa pt. *Pan Piłsudski*. Rembek z jednej strony był eliminowany przez strażników oficjalnej, załganej historii Polski, z drugiej strony zaś przez zwolenników jednoznacznych, heroicznych mitów narodowych.

Tomasz Burek powiada w Posłowie: „Stanisław Rembek pisarzem zupełnie zapomnianym nie był nigdy. Z pewnością jednak był w literalnym znaczeniu tego słowa pisarzem pechowym”. Przyznam się, że zafrapowała mnie ta kategoria historycznoliteracka. Nie trzeba szukać zbyt daleko, by listę owych „pechowców” zdecydowanie

rozszerzyć, aż po konstatację, iż pechem literatury polskiej jest to, iż tworzona jest ona w... języku polskim. Ale jednocześnie nie zabrakłoby nam i rozmaitych szczęściarzy. Wszak tylko wyjątkowo pomyślny zbieg okoliczności zadecydował o tym, że spore grono ludzi dość nieporadnie klejących zdanie do zdania przez lata było obdarzane szczerym określeniem „literatów”.

Nie wiem, czy wydawnictwo „Czytelnik” zdoła uporać się z zamysłem serii, przypominającej już bez okaleczeń prozę dwudziestolecia. Zdaje mi się, że „Wydawnictwo Literackie” już dawno zapomniało o znakomitej serii książek zapomnianych prozy polskiej XIX i XX wieku. Pozostaje na razie tylko zapowiedź: „Następny tom w serii: Stanisław Rembek *W polu*”.

Bez względu na osobisty stosunek do Józefa Piłsudskiego, pomijając doroczną już teraz peany na cześć „cudu nad Wisłą” powiedzieć trzeba jedno: *Nagan* to dobra literatura. Podobnie jak *Lewa wolna* Józefa Mackiewicza czy *Armia Konna* Izaaka Babla. Literatura, której nie trzeba się wstydić. A o iluż utworach „szczęściarzy” i „pieszczochów” nie da się tego powiedzieć...
Ada M.

Barbarzyństwo cywilizacji

J. M. COETZEE, Czekaając na barbarzyńców. Przełożyła Anna Mysłowska. „Czytelnik”, Warszawa 1990, s. 240.

Kim jest J.M. Coetzee – nie mam pojęcia. Wydawca zechciał podać ledwie minimum informacji: że to pisarz południowoafrykański i że w 1987 roku otrzymał Nagrodę Miasta Jerolimy „O wolność jednostki w społeczeństwie”. Pozostaje więc tylko proza i to proza – od razu choć powiedzieć – świetna. Trudno uchwycić precyzyjnie jej styl czy smak. Jest w niej coś ze swoistego realizmu: ludzie, przedmioty, zachowania, pejzaż, słowem – cały świat tej powieści opisano w najdrobniejszych szczegółach, a zarazem nie da się go określić ani przyporządkować jakiejś konkretnej rzeczywistości. To trochę tak, jakby cała warstwa realistyczna była jednocześnie metaforą, która natychmiast zamienia zmysłowy konkret w jakieś „gdzieś” i w jakieś „kiedyś”.

Coetzee buduje napięcie na niewiadomym. Jakieś imperium (czyżby przetworzone imperium brytyjskie?) wypowiada walkę jakiejś prowincji, w której interesów imperialnych broni załoga niewielkiej fortecy. Narratorem i bohaterem powieści jest nieznamy z imienia sędzia, któremu w ciągu długich lat udało się wypracować modus vivendi z tubylczą ludnością. Na jego oczach rozkręca się bezsensowna machina podejrzeń i agresji wymierzonej w barbarzyńców, którzy rzekomo zagrażają imperium. Sędzia pada ofiarą tej machiny.

Pomyślałem o znanym wierszu Kawafisa: starożytne, cywilizowane miasto czeka na przyście barbarzyńców, którzy może przyniosą jakieś rozwiązanie. W świecie Coetzee'ego nie barbarzyńcy są problemem zresztą nie jest oczywiste, czy ludzie nazywani barbarzyńcami w istocie nimi są. Problemem jest sama cywilizacja czy ściślej: formacja, która podaje się za cywilizowaną i która musi sama siebie potwierdzać, kosztem wymyślonego wroga, kosztem „innego”. Kosztem tych, których spycha się na pozycje podrzędne po to, by samemu się wywyższyć. Coetzee odsłania cały fałsz takiej cywilizacji, całą nieautentyczność przynoszonych przez nią „wartości”. Nie ufa żadnej z form kulturowej konkwisty. Jest to książka, która – jak sądzę – może zrobić wrażenie na ludziach z pozornie odmiennych światów. Podstawą dla Coetzee'ego było zapewne doświadczenie apartheidu, ale w jego powieści przeglądają się wszelkie formy agresji i inwazji. Wszystko jedno, czy będzie to kolonializm, kruczata religijna, antysemityzm czy wreszcie podbój ideologiczny.
J.M.

Kochankowie X muzy

Bertolucci, tak trzymać!

Pod osłoną nieba, reżyseria: BERNARDO BERTOLUCCI

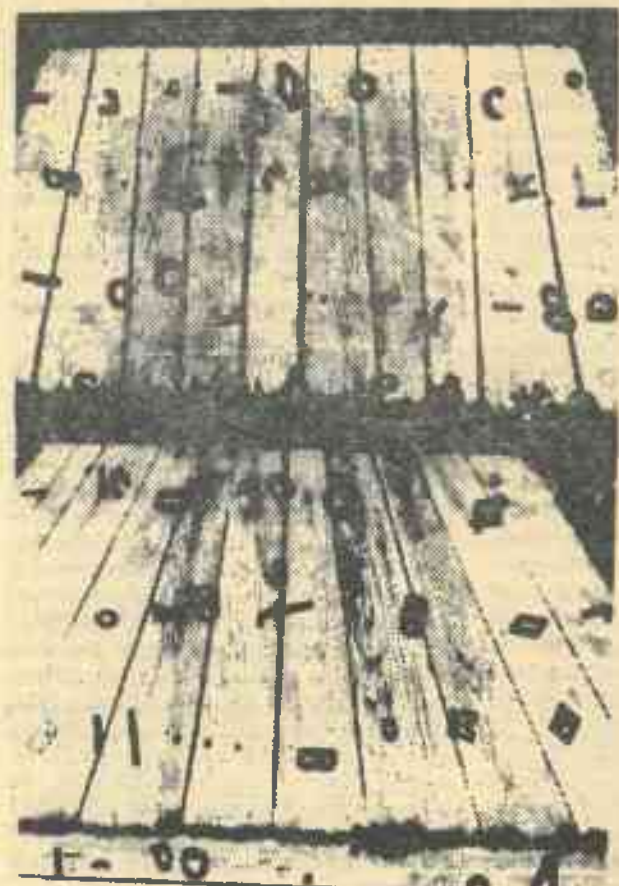
Czesław Miłosz jedyny polski pisarz, który chodzi do kina i się tego nie wstydi, wydał ostatnio jak wiadomo dziennik zatytułowany *Rok myślowy*. W książce tej zawarł między innymi własną opinię o obrazie Bernardo Bertolucciego – *Ostatni Cesarz*. Określił go mianem – „hybn” na chwałę – isprawniełnotrudowychlagieriej, w ich chińskiej odmianie. Trudno się nie zgodzić z tym poglądem. Prawdę rzekłszy, oglądając *Ostatniego Cesarza* miałem wrażenie obcowania z aberracją. Dlatego z wyśknieniem oczekiwałem kolejnej produkcji Bertolucciego. Film – *Pod osłoną nieba* nie zawiódł oczekiwań licznych zwolenników rozmaitych talentów mistrza. Jest sterylnym kiczem, wysiłonym, nadętym. Fabuła służy wyłącznie za pretekst do prezentowania karawan przeciągających przez pustynię.

Debra Wigner, aktorka skądinąd utalentowana gra, że gra. John Malkovich (ulubieniec pań) udaje, że o coś w filmie chodzi. O nic nie chodzi. Vittorio Storaro, człowiek uznawany za operatora wybitnego, realizuje sen sprzedawcy pocztówek z Kryniczy Morskiej. Wreszcie człowiek zaczyna nabierać przekonania, że film się nigdy nie skończy, że będzie trwał i trwał. Na śmierć bohatera czeka się z niecierpliwością. To jest niehumanitarne i nieładne, ale taka jest prawda. Wreszcie umiera. Debra, biedactwo, zostaje sama. Choć dla akcji filmu nie ma to żadnego znaczenia. Akcja filmu zaczyna się jakby od początku. Jeszcze tylko odrobinę zniesmaczającego seksu. O wyraźnym zresztą i nieskrywanym nacechowaniu rasistowskim. Białej kobiecie nie wolno romansować z Arabem, w ogóle „biali” ludzie przedstawiani są w filmie jak ludzie. Przekonanie, które żywiłem do dziś, że wszyscy ludzie są braćmi okazuje się być przesądem. I to wszystko czego dowiedziałem się z filmu Bertolucciego. I dlatego liczę dni dzielące nas od premiery kolejnego dzieła tego wybitnego artysty. Jestem przekonany, że i tym razem upiecze mistrz niezły paszтет.

Wojciech Tomczyk

bon-Parme i Generał Jezuitów Ledóchowski. „Przez całe życie – pisze Pomian – jedną z jego głównych cech było właśnie to, że nikt dla niego nie był za wielki i właśnie ta śmiałość przysporzyła mu wielu sukcesów i licznych admiratorów”. Niestety tym razem misja zakończyła się niepowodzeniem. W roku 1917 Retinger sprzeciwił się formowaniu oddziałów polskich z byłych jeńców wojennych. Musiał

opuścić Francję. Przez Hiszpanię i Kubę wyjechał do Meksyku. Był to najtrudniejszy okres w jego życiu, czas nędzy, walki o każdy grosz. W Hawanie Retinger pracował jako lektor w fabryce cygar. Zarabiał pięć dolarów dziennie. Po dotarciu do Meksyku organizował związki zawodowe, przewodniczył delegacji państwowej w rozmowach z Amerykanami w sprawie nafty. W czasie pierwszej wizyty



JAN TARASIN

ty w Stanach, gdy nielegalnie przekroczył granicę razem z przemytnikami, został aresztowany i osadzony w więzieniu. Po uwolnieniu powrócił do Meksyku. Nie zapomniał o kraju. Był w Polsce kilkakrotnie. Związał się blisko z PPS choć nigdy nie był jego członkiem. Pragnął zachować niezależność, dystans. „Retinger – notuje Pomian – był najdoskonalszym znanym mi przykładem przypowieści o ptakach, o które Bóg troszczy się, choć nie sieją ani orzą. Nie chciał u nikogo pracować i nigdy nie szukał posady”. W latach trzydziestych, już z Londynu, pisał artykuły do „Robotnika” i „Wiadomości Literackich”. W czasie drugiej wojny Retinger należał do najbliższych współpracowników Sikorskiego. Pertraktował z Sowietami, negocjował pakt Sikorski-Majski. Po śmierci Sikorskiego, mając 56 lat, skakał do Polski na

spadochronie w tajnej misji wojskowej. Nękaną przez Niemców i niektórych wrogich mu Polaków, dotknięty paraliżem z trudem wrócił do Anglii. Po wojnie Retinger świadomy kłeski i trwałości jałtańskich układów poświęcił się działalności międzynarodowej. Był, jak podkreśla Pomian, jednym z twórców idei Zjednoczonej Europy. Organizował Kongres w Hadze, stworzył grupę Bilderbergu, przyczynił się do powstania Beneluksu. Retinger uparcie dążył do celu, choć potrafił z godnością przegrywać. Nigdy nie należał do żadnej partii, nie przyjął brytyjskiego obywatelstwa. Nie miał nawet konta w banku, żył skromnie. Zdaniem Pomiana, „szczególne połączenie talentów i słabości sprawiło, że Retinger nie mógł zajmować środka sceny. Niczym impresario potrzebował innych w charakterze gwiazd przedstawienia, siebie zaś obsadzał w roli szarej eminencji, człowieka za sceną”. Mimo to pozostał w pamięci wielu przyjaciół: JKM księcia Bernharda Holenderskiego, Konstantego Jeleńskiego, Tadeusza Chciuka, Juliusza Żuławskiego. Pomian zbiera ich relacje, dopisuje własne komentarze. Próbuje uchwycić osobliwość tej dziwnej postaci. „Było coś niesłychanie ujmującego w jego trochę małpiej twarzy, okraszonej szerokim, przyjaznym uśmiechem i w jego żywych, brązowych oczach, wyzierających spoza staroświeckiego pince-nez”. Dla wielu ludzi Retinger był postacią tajemniczą, autorem spisków, pracownikiem służb wywiadowczych. Denis de Rougemont zapytał go kiedyś: „Powiedz mi Joseph, mówią że jesteś masonem, agentem Intelligence Service, CIA i Watykanu, a także sympatykiem komunizmu. Czasem nawet dodają, że jesteś Żydem i pederastą. Co mam na to powiedzieć?”. „Powiedz – odparł Retinger – że to jeszcze nie wszystko”.

Powrót Kresów

Kresy wróciły. Po dziesięcioleciach życia chyłkiem, egzystencji nieoficjalnej i anemicznej, rozpierają się oto od jakiegoś czasu na księgarskich ladach, scenach teatrów i telewizyjnym ekranie. Jeszcze nie tak dawno Jan Parandowski musiał dbać, żeby w swym *Zegarze słonecznym* nie wymienić samej tylko hazwy Lwów, a dziś – proszę – w witrynie każdej niemal księgarni *Uśmiech lwowskiej ulicy* sąsiaduje z tejsze ulicy *Piosenkami, Kuchnią lwowska z Chlebem i Podróżą do Brailowa*.

Każda z owych książek dorzuca nowe detale do portretu ziem kresowych, zaś obraz jaki w efekcie tej nader zgodnej współpracy na koniec się wyłania, uderza swą harmonią. Jedną jest szkicowany kreską, jedna w nim barwa i jeden ton. Kresy powróciły jako Arkadia – kraina białych dworców w wiśniowych sadach. Powróciły jako mit.

Tu kraj cały jednym łanem
I nadany wszelkim płodom;
Płynie mlekiem, płynie miodem...

Ignacy Fik powiedział kiedyś o mitach, że są „malowniczymi ruinami nieudanych utopii”. Warto to zdanie pamiętać, kiedy czyta się dziś o kresach i polskiej misji cywilizacyjnej na Wschodzie. Coś nam chyba z tą misją nie wyszło, jeśli we wrześniu 39 sowieckie tanki wjeżdżały do wsi białoruskich przez sklecone naprędcę bramy tryumfalne, a opisany we wspomnieniach Józefa Łobodowskiego ukraiński oberżysta nie potrafił powściągnąć szyderstwa i złośliwej radości, gdy radio podało wiadomość o kapitulacji Warszawy.

Dla najpilniejszego nawet czytelnika tego, co obecnie na temat Kresów się publikuje, reakcje takie pozostaną niezrozumiałe. Jedynym wytłumaczeniem będzie ciemnota, agenturalność lub irracjonalna, zoologiczna nienawiść do wszystkiego, co polskie. No bo czy źle im było w Rzeczypospolitej? Na tych pięknych Kresach...

Wspomniany przez Łobodowskiego oberżysta ścigała w pewnym momencie koszulę i pokazuje pokryte bliz-

nami plecy. Są to ślady policyjnych pałek sprzed dziewięciu lat. Wówczas to, latem 1930, miała miejsce pacyfikacja południowo-wschodnich województw. W odpowiedzi na terrorystyczne zamachy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów przeprowadzono wielką akcję wojsko-policyjną, podczas której często – gęsto stosowano zasadę zbiorowej odpowiedzialności, batożąc i przepuszczając przez szpalery pałek całą ludność męską kolejnych wsi.

Próżno szukać wzmianki o pacyfikacji trzydziestego roku w wydawanej ostatnio literaturze kresowej. Nie znalazła się w zbiorowej pamięci społeczeństwa polskiego. Podobnie jak „głośna w dwudziestolecie epopeja Ułasa Samczuka *Wołyn*”, jak Pruszyńskiego *Podróże po Polsce*, *Bunt rojstów* Mackiewicza, reportaże Wańkiewicza. Jak tyle innych świadectw niewygodnych i wstydlivych.

Niewygodnych, gdyż dość bezwzględnie burzących miły sercu mit kresowej Arkadii, białego dworku i dobrego pana, w ojcowski sposób traktującego trzódkę swych poczciwych i jakże malowniczych „tutejszych” włóścian. Reportaże Pruszyńskiego i Mackiewicza pokazują, że Poleszacy czy Ukraińcy byli nie tylko malowniczy, ale także głodni i upokarzani, że czuli się w Rzeczypospolitej obywatelami drugiej kategorii, i że aż nadto mieli ku temu powody.

Lektura świetnego szkicu Jacka Kołbuszewskiego *Legenda Kresów w literaturze polskiej XIX i XX wieku* dowodzi, jak niewielka ewolucja ów mit od czasów Szymonowicza i Wespazjana Kochowskiego. Zmiany dotyczyły drugorzędnych elementów dekoracji, pośród których nieodmiennie królował dumny „obronca naszych wschodnich granic” otoczony (w zależności od okoliczności) „chłopstwem nikczemnym” lub „miłymi kmiotkami”. I w tej właśnie kanonicznej postaci mit kresowy poczyna odżywać na naszych oczach.

Przekonałem się o tym na własnej skórze, gdy po opublikowaniu na łamach wrocławskiego *Dziennika Dobnośląskiego* reportażu historycznego o Akcji „Wisła”

począłem otrzymywać od czytelników telefony i listy, w których co-i rusz pojawiał się zarzut narodowej apostazji. Uświadamiano mnie przy tym łaskawie, kim są Ukraińcy (niekiedy niemalże słowami Zimorowicza „Chłopstwo nikczemne, bezeczni hultaje”), i za co spotkała ich w 1947 roku „nauczka”, której udzielił im dzielni żołnierze *KBW* oraz funkcjonariusze *MO* i *UB*. I, aby w pełni uwypuklić ukraińsko-białoruską niegodziwość, malowano mi przed oczyma obraz arkadyjskich stosunków panujących na wschodnich terenach II Rzeczypospolitej.

Dzisiejszy triumfalny powrót złotej legendy Kresów jest zjawiskiem przykrym dla mnie także ze względów najzupełniej osobistych. W latach osiemdziesiątych współredagowałem „Nową Koalicję”, drugoobiegowe pismo, którego celem było budowanie mostów porozumienia pomiędzy Polakami a innymi narodami zamieszkującymi Europę Środkową. Nie unikaliśmy tematów drażliwych, strając się ujawnić i rzetelnie opisać przyczyny animozji psujących nasze wzajemne stosunki. Życzliwy odbiór, z jakim pismo spotkało się ze strony emigracji litewskiej, dobra opinia, jaką miało wśród dysydentów czeskich, słowackich, węgierskich i ukraińskich (po długich staraniach udało się zorganizować jego przerzut za wschodnią granicę), budziły nadzieję, że droga jaką wybraliśmy jest słuszna, a cel możliwy do osiągnięcia. Dziś, gdy budzą się najrozmaitsze nacjonalizmy, gdy tryumfuje ksenofobia i megalomania narodowa, nadzieje te zdają się sypać w proch i pył.

Gdyby szło tylko o osobistą gorycz i poczucie przegranej, pewnie nie zabierałbym głosu. Jednak sprawa ma wymiar szerszy. Opanowanie pamięci zbiorowej społeczeństwa polskiego przez zmitologizowaną wizję przeszłości Kresów będzie bowiem bez wątpienia rzutować na naszą teraźniejszość i przyszłość. I nie myślę tu nawet o tych kilku szaleńcach marzących, aby jakiś wódz poprowadził ich na Kowno albo Lwów. Chodzi mi raczej o stan powszechnej u nas niewiedzy na temat Wschodu, jakiejś niezwykłej wprost ślepoty istniejących tam problemów i nieprzemakalności na panujące tam nastroje. Wydaje mi się, że źródłem takiego właśnie stosunku do dawnych ziem kresowych Rzeczypospolitej jest nieumiejętność wyzwolenia się spod ciężaru tradycji, która – mimo świętych wyjątków w rodzaju Vincenza i Stempowskiego – oznaczała przecież głównie niedostrzeganie Ukraińców i Białorusinów w ich podmiotowości i samoistności, narodowej i kulturowej.

Zbigniew Bienkowski

Mieszani

Poszukując dla sztuki współczesnej jakiejś ogólnej spajającej ją idei, znaleźlibyśmy ją w pojęciu transgresji. Termin ten wprowadzony w innym odcieniu znaczeniowym przez francuskiego filozofa egzystencji Georges'a Bataille'a, należałoby odczytywać jako przenikanie, przekraczanie zakazów, barier, granic. W sztuce współczesnej od początku wieku – manifestacyjnie, a od połowy wieku w sposób naturalny, niekontrolowany odbywa się proces wzajemnego przenikania gatunków, kontaminacji rodzajów. Techniki collage'u, ready made otwierają granice plastyki rzeczom hybrydalnym, gotowym do użytku w innym zastosowaniu, fabrykantom. Sztuka czysta korzysta ze sztuki użytkowej, a nie odwrotnie jak przykład tradycji uczył. Reportaż, literatura faktu programuje zatarcie granic między fikcją a rzeczywistością, między dokumentem, odpowiednikiem plastycznego ready made, a jego interpretacją. Fabuła powieści kojarzy się z surowym materiałem wspomnieniowym, równie dobrze jak z esejem. Powstaje nowa kategoria estetyczna: proza. Proza nie jako przeciwstawienie poezji, ale jako twór kontaminacji. Z poezji wyklukują się „poezja śpiewana” jako mieszani uczuciowości liryki i sentymentalizmu estrady. Można by mnożyć przykłady przenikania się gatunków. Najjaskrawszych dostarczy teatr, który żywi się adaptacjami, kojarzeniem megalomani, estetycznym rafurstwem. Coraz częściej nie Hamlet i Ryszard III lecz reżyser jest bohaterem dramatu.

Transgresja nie ogranicza się do przenikania się form. stylizacji, do kontaminacji gatunków. Transgresja ogarnia istotę sztuki. Obserwujemy zjawisko przenikania wartości, kontaminacji kryteriów doznania i poznania, przemieszania sztuki i niesztuki. Kompozycja plastyczna, scena teatralna, powieść, wiersz sięgają do odrzutów estetycznych, do rzeczy i doznań nie należących „do towarzystwa”, pozbieranych na śmietniku ekspresji. Kicz wkroczył na salony.

Do niedawna między sztuką i kiczem rozlegała się przestrzeń trwałego i absolutnego nieporozumienia. Sztuka miała swoją publiczność, kicz miał swoją. Były dwa niezależne snobizmy, tu

piccasy, tam jelenie na rykowisku, tu Berent, tam Zarzycka, tu Liebert, tam Wojciech Bąk. Zachwyty, miłość, religijność można było przeżywać na dwa sposoby, na surowo, albo z garnirem.

Kicz nie krępował się swoją tożsamością, ale swoje miejsce znał. Był jak danie w barze samoobsługi, jak rozkosz w burdelu. Tani, przystępny, beczceremonialny, zaspokajał głód szybko, działał natychmiast i najważniejsze, nie powodował żadnych następstw nieprzewidywanych, nie miał działań ubocznych. Nie porażał, ale i nie zarażał. Nie budził i nie pozostawiał tęsknot, nienasyceń. Między sztuką i kiczem była wyraźna cezurą, granica nieprzekraczalna złego i dobrego smaku. Ulica i elita. Plebejskość i arystokracja i ciała i ducha. Czytelnik „Przemienię z wiatrem” nie będzie czytał „Absalomie, Absalomie”. Aż stał się cudownego razu, obraz przemówił do dziada. Czy to jeleni na rykowisku pozazdrościł rannemu losiowi, czy ranny łos zaślęknął za rykowiskiem. Dość, że stało się. Kicz zaczął pojawiać się na salonach. Zrazu nieśmiało, w didaskaliach, a potem coraz śmieiej w odzywkach scenicznych. Był prowokacją w *Szewcach*, w *Matce*. Witkacy bawił się nim jak zabawką, nakręcanym bakiem, popisywał się nim w grymasach powieściowych i malarskich. Był jeszcze wciąż pięknym negatywnym, kuszącym i rozpoznawalnym z daleka. Aż zaczął wsiąkać w obyczaj estetyczny i nasiąkać znaczeniem, godnością.

Kiedyś na randkę z kiczem umawiało się u Zarzyckiej, u Mniszkówny, potem u Tyrmanda, Kisielewskiego (powieściopisarza), Bratnego. Były to spotkania ukradkowe, trochę krępujące i trochę podniecające zarazem. Dziś spotykamy się z nim jawnie w teatrze Kantora, w prozie Konwickiego, na wystawie Hasióra. Kicz niepostrzeżenie stał się tworzywem sztuki wysokiej. Hasiór, Kantor, Konwicki to artyści o sławie międzynarodowej, wielcy i popularni jednocześnie, o wartości niekwestionowanej. I właśnie oni, ci najwięksi w świadomości współczesnych, posługują się kiczem nie po witkacowski, jak prowokacją, ale z pełną aprobatą wszystkich jego wdzięków, uroków i możliwości. Bo jeszcze taki Salvador Dali monumentalizując śmieszność ustawia ekran świadomości, gdzie przy mrużeniu oka odbija się kosmicznym grymasem, tak ogromnym, że nipoważalnie wielkim. Coś się więc stało w sztuce (?), we wrażliwości (?), że narodziła się potrzeba natychmiastowości doznania, głód na wszystko naraz. Jakby artyści znużeni wspinaniem się na Empire State Building estetyki zaczęli rozglądać się po otaczającej ich zwyczajności, po peryferiach, śmietnikach, jarmarkach ekspresji i z przypadkowo znalezionych świecideł i skorup zaczęli komponować czy kleić psychologię, metafizyki, a nawet epifanie. I wzięli się za to najwybitniejsi.

Jeszcze jak Gaczyński próbował, to się z niego tu i ówdzie śmiano. Kiedy Białoszewski to robił, to się już razem z nim śmiano. A już Hasióra, Kantora i Konwickiego uważa się za kapłanów, mistrzów, nawet arcy mistrzów, arbitrow elegancji.

Podziwiając tych artystów, oklaskując ich, czy nie podziwiamy i nie oklaskujemy także szczątków bluffu, który się w ich sztuce cichaczem zadomowił? Bo nie podejrzewam ich o nieświadomość, o niezdawanie sobie w pełni sprawy z jakością tworzywa, jakim się posługują. A może żywotność kiczu jest tak wielka, że przebija się przez wszystkie zapory i dyscypliny estetyczne i zmusza nas do zachwyty i podziwu tego, czego w wersji oryginalnej, bez opakowania, bez snobizmu na nowomowę estetyki nawet byśmy nie zauważyli. To są tylko wątpliwości, ale wątpliwości uporczywe, będące reakcją na agresję rozbuchanego sentymentalizmu i nachalność ekspresji. Jeleni na rykowisku coś za bardzo wprawnie pozuje na rannego losia.



FRANCISZEK MAŚLUSZCZYK